Nr. 34. Lwów, 20. maja 1900. **Serja Wydawnictwa trzecia. Rok XXIV.**

Numer pojedyńczy **40. hal.** z dodatkami.

Tygodnik Narodowy

ILLUSTROWANY,

wychodzi na każdą niedzielę.

Ogłoszenia po 16 hal. od wiersza petitowego. Reklamy po 40 hal. 60 hal. i 1 kor. od wiersza.

Prenumerata w Galicji i w Austro-Węgrzech wynosi z przesełką pocztową: rocznie *16 kor.*, półrocznie *8 kor.*, kwartalnie *4 kor.*, miesięcznie *1 kor. 40 hal.*, W Poznańskiem i Niemczech: rocznie *16 marek* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Królestwie Polskiem i Rosji: rocznie *8 rubli* — stosownie na pół roku i na kwartał. We Francji i w innych krajach europejskich: rocznie *20 franków* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Ameryce Stanów Zjednoczonych rocznie: *4 dollary* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Brazylji i w innych krajach zaoceanowych: rocznie *25 franków* — stosownie na półroku. Prenumeratę pod adresem Administracji *Tygodnika Narodowego* najdogodniej przesełać przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych. Z Ameryki i z Brazylji można przesełać prenumeratę dollarami papierowymi, lub milrejsami w listach rekomendowanych (registré), albo przekazami pocztowymi. Prenumerować można w każdym czasie, bez względu na zaczęty kwartał, lub miesiąc. Numera zaległe z początkiem powieści, lub większych utworów przesełają się natychmiast *bezpłatnie.* Ogłoszenia przyjmuje Administracja, oraz wszelkie biura ogłoszeń miejscowe i zagraniczne. — Prenumeratorowie ***roczni*** otrzymują *co rok bezpłatnie*, jako ***premium*** nowy *Kalendarz illustrowany* wszechstronnie informujący, obszerny i obfity w treść interesującą.

*Redakcja i Administracja **Tygodnika Narodowego** we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.*

Tygodnik Narodowy znajduje się pod kierunkiem Komitetu wydawniczego i redakcyjnego.

Od wydawnictwa.

Z powodu śmierci wydawcy i redaktora odpowiedzialnego pisma naszego ś. p. Mieczysława Dzikowskiego-Chamskiego, w wydawnictwie naszem nie zajdzie żadna zmiana. „Tygodnik Narodowy“ będzie i nadal wychodzić, jak dotąd, pod redakcją komitetu. Jako wydawczyni i redaktorka odpowiedzialna będzie podpisywać Tygodnik Narodowy p. Emilja Dzikowska.

Redakcja i Administracja „Tygodnika Narodowego“, mieścić się będą i nadal przy ul. Kraszewskiego l. 23.

Jubileusz w Gnieźnie.

W prastarej katedrze gnieźnieńskiej, która święciła swój 900-letni jubileusz, a której widok od strony wschodniej obok podajemy, od niepamiętnych czasów rozbrzmiewa co niedzielę najstarsza pieśń polska „Bogarodzica“. Z pieśnią tą na ustach szło w bój rycerstwo polskie, przeciw nieprzyjacielowi, jej pieniem zagrzewało się do męstwa, nucąc pieśń tą zwyciężało, lub ginęło za wiarę, lub ojczyznę. A śpiewano ją już w tak dawnych, bardzo dawnych czasach, że aż zapomniano o jej pochodzeniu.

Znany badacz języków słowiańskich, prof. uniwersytu lwowskiego dr. Antoni Kalina, tak kreśli dzieje tej prastarej pieśni:

Długi czas myślano, że autorem jej był św. Wojciech, któremu i czesi przypisywali też jedną ze swych najstarszych pieśni, bardzo do naszej podobnej, a podobieństwo zachodzi szczególniej w pierwszych obu pieśni częściach. Jakkolwiek dziś już wiemy na pewno, że św. Wojciech nie jest autorem, ani pieśni czeskiej, ani też naszej »Bogarodzicy«, to jednak przyznać musimy staremu podaniu myśl głęboką dotyczącą wpływu Czech na Polskę. Czesi przyjąwszy wcześniej od nas religję chrześcijańską, stali się nietylko naszymi nauczycielami w rzeczach religji, ale stojąc od nas wyżej w nauce i oswiecie, byli nam wzorem, który staraliśmy się naśladować pod każdym względem, a szczególniej na polu literatury kościelnej. Chrzest Mieczysława, do którego przyjęcia przyczyniła się Dąbrówka, rodem czeszka, stanowi początek w tej misyi apostolskiej Czech, a przybycie św. Wojciecha do Polski jest



Katedra gnieźnieńska od strony wschodniej.

dalszym krokiem na tem polu — na którem wpływ Czech na Polskę był przeważny. Przypisywanie autorstwa pieśni Bogarodzicy najstarszej naszej pieśni kościelnej św. Wojciechowi, stwierdza także ten fakt, że piśmiennictwo staropolskie czerpało obficie z gotowego źródła, jakiem było dla niego piśmiennictwo staroczeskie. Większa część pieśni kościelnych, które w XIV. i XV. w., a nawet i później śpiewane były w kościołach polskich, a z których niejedne i po dziś dzień jeszcze się śpiewa, są żywcem tłomaczone z pieśni czeskich, albo podług nich, urobione. To samo można powiedzieć także o zabytkach kościelnych i świeckich, pisanych prozą.

Pieśń »Bogarodzicy« składała się pierwotnie z kilku wierszy, z biegiem czasu została zaopatrzoną w dodatki, z których najważniejsze stanowi ustęp pieśni o męce i zmartwychwstaniu pańskiem, potem ustęp pieśni o różnych świętych polskich, jak o św. Wojciechu, św. Stanisławie itd. W ten sposób pieśń ta stała się jakby hymnem narodowym, który przez różne przechodząc przeróbki, otrzymał w XVI. w. zaokrągloną całość i odpowiednią melodję. Jednak w tej formie nie długo już była on pobudką rycerstwa polskiego; z upadkiem wiary w Polsce, ustawała cześć dla Matki Boskiej, a z nią szła w zapomnienie pieśń do Bogarodzicy. W XVII. i XVIII. w. pieśń ta była już nieznaną ogółowi narodu, a tylko jako zabytek literacki była przepisywaną i ogłaszaną z różnemi po większej części błędnemi objaśnieniami i zmianami. Tylko u grobu św. Wojciecha w Gnieźnie, pieśń »Bogarodzica« śpiewaną jest w katedrze tamtejszej aż dotychczas, przez co zachowała się nam pieśń ta nietylko, jako najdawniejszy zabytek literacki, ale także jako żywa tradycja, która wiąże pieśń »Bogarodzicy« z osobą św. Wojciecha.

Hańba cywilizacji.

Opinją publiczną wstrząsnęły znów do głębi nowe obrazy okrucieństw, jakich w Afryce dopuszczają się europejczycy. Po próbkach cywilizatorskich niemców w Kamerunie i w niemieckiej Afryce zachodniej, przyszła kolej na Kongo belgijskie, gdzie odegrały się sceny, przypominające najcięższe czasy niewolnictwa. Trudnoby było uwierzyć opisom dziennikarskim, gdyby ich nie poparły rozprawy parlamentarne. Jeden z urzędników belgijskich, poruszył tę sprawę dla wytłumaczenia krwawego powstania, które wybuchło w prowincji Mongalla.

Jak wiadomo, Kongo tworzy niby samoistne »wolne« państwo, rządzone przez kompanię akcyjną, której dyrekcja, nazywająca się także ministerjum, urzęduje w Brukselli. Niedawno jeden z jej członków jeździł po stolicach europejskich z odczytami o rozwoju przemysłu wywozowego i handlu w Kongo; chodziło mu oczywiście, o zachęcenie kapitalistów do przedsiębiorstw w tym kraju i zapewne wielu zwa-

bił, gdyż cyframi wykazał, że obroty w ciągu lat kilku urosły z 7 na 19 miljon. franków. Spojrzmy więc, jakimi sposobami wyciskane są te miljony.

W listopadzie roku zeszłego, murzyńska wieś Monbia nie złożyła przepisanej daniny kauczuku, więc kazano ją wymordować. Zjawił się oddział białych żołnierzy, zrekrutowanych oczywiście z najpodlejszych wyrzutków, otoczył wieś i począł strzelać. W ciągu godziny zabito wszystkich. Dwadzieścia dwie kobiet z niemowlętami schowały się w jakiemś podziemiu — wydobyto je ztamtąd, przywiązano do drzew i potem sam dowódca oddziału po kolei zabijał je z rewolweru.

Na posterunek Mumbumbala 60 kobiet przyniosło kauczuk ze wszystkich okolicznych wsi, ale po obliczeniu tej daniny okazało się, że dostarczono jej za mało; więc wszystkie te kobiety wtrącono do więzienia, w którem morzono je głodem; umarło ich 55, ostatnich zaś pięć ukrzyżowano. Murzyni, nie wiedząc o tem, przybyli na posterunek, aby się dowiedzieć, co się z niemi stało, ale tu natychmiast ich wzięto na męki, poczem 150 z nich odcięto obie ręce i puszczono, aby opowiadali swoim, jak europejczycy karzą za niedostarczenie przepisanej ilości kauczuku.

Na interpelację w parlamencie rząd przyznał, iż okrucieństwo to istotnie popełniono, lecz na to nic poradzić nie może, ponieważ Kongo jest osobnem państwem, które posiada własną administrację. Jest to jednak tylko wykręt.

Obywatele belgijscy, mieszkający w Brukseli, tworzą ministerjum; inni obywatele belgijscy są w Kongo naczelnikami administracji i dowódcami zbrojnych oddziałów. Ale nie odpowiada żaden obywatel za to, co czyni jako minister, lub urzędnik kongijski. Rozbój za granicami Belgii, jest więc dozwolony każdemu belgowi, byle kauczuku dostarczał jak najwięcej, aby wywóz podniósł się z 7 na 19 milionów franków.

W toku rozpraw w parlamencie brukselskim nad tą ohydną sprawą, rzekł jeden deputowany, profesor uniwersytetu w Leodjum, że widocznie klimat afrykański i warunki tamtejszego życia obudzają w europejczykach wszystkie stłumione przez cywilizację zwierzęce skłonności. Zamiast takiego paradoksu, czy nie trafniej byłoby powiedzieć, że z Europy, zdemoralizowanej, pozbawionej uczuć religijnych, idą do Afryki najpojętniejsi uczniowie takiej cywilizacji, patentowani zbóje i okrutnicy.

Tymczasem Armand Dubois, stary afrykańczyk, ogłasza list otwarty, w którym twierdzi, że zwyczaj odcinania rąk murzynom, zaprowadził Stanley, który wziął go znowu od arabów, handlarzy niewolników. Ponieważ Stanley niejako organizował państwo Kongo, przeto jego metodę administracyjną przyjęli następcy.

To także nie zła próbka cywilizacji!

Czyż wobec tego dziwić się można, że cywilizacja nie umiała dotąd wyprzeć nawet ludożerstwa z łona Afryki.

W rozmowie z przedstawicielem „Independence Belge“ komendant Lothaize przyznał, że nawet murzyni, służący w milicji Konga uprawiają ludożerstwo. Dzieją się takie wypadki nieraz w obecności oficerów, ci przecież nie mogą przeszkodzić tym objawom dzikości.

Na co się zdało zniesienie niewolnictwa i wywieszanie haseł cywilizacyjnych na czele kolonizacji europejskiej, jeżeli cywilizacja ta takimi postępować będzie tory. Istotnie, hańba takiej cywilizacji!

Z dwóch dzienników.

Nowelka

Hermana Heiberga

(przekład z niemieckiego D.)

Ona.

Znowu spotkałam go wczoraj. Miał jasny surdut, błyszczące lakierki, stojące kołnierzyki i jak zwykle, nieznośne, niedbałe ułożenie.

Nie pojmuję, jak młody człowiek może tak mało okazywać znajomości form światowych. Chciałabym mu poradzić — najsnadniej w anonimowym liście — żeby zamiast stenografji, której uczą się zwykle dodatkowo, brał lekcje dobrych manier.

No, warto widzieć wtedy twarz jego! Toż to ucieszyłby się ową chrześcjańską radą! A przecie kupiłabym sobie rózgę, żeby się nią wychłostać za to, iż tym aroganckim jegomością się zajmuję. Istne nieszczęście! Ale są już tacy ludzie, na karę naszą stworzeni, którzy czem więcej nas gniewają, tem silniej wpijają się nam w duszę. Chcąc nie chcąc, ciągle myślą wracam do niego — czy śpię, czy jem, czy ubieram się, postać ta nieznośna ciągle stoi mi przed oczyma.

Nie mogę pojąć, jak Liza Ankerström może się tym człowiekiem zajmować!

— Co ty w nim widzisz? — pytałam ją.

Kronika niedzielna.

Wiosna.

Gdyby zebrać w jedną wielką całość, wszystkie na wiośnianych tematach osnute prace, które za sprawą zacnych redakcji i trudu poczciwych zecerów rzucone zostały na pastwę krytyki srogich prenumeratorów, gdyby je zebrać wszystkie, starczyłoby niewątpliwie papieru nawet na opakowanie... części nieświeżego masła, które nam, jako »najlepsze« sprzedają.

Ale chciałem mówić o wiośnie, wreszcie tak każe tytuł i obowiązuje do treści z nim związanej...

Zjawia się pierwszy jej promień i zwiastuje nadejście pięknej, słonecznej, świeżej wiosny. Powstają nowe życia, budzi się starość z zimowego odrętwienia...

Wyschły jak fakir indyjski, profesor, ujrzawszy młodego karalucha, mówi z radością: Wiosna... mam nareszcie temat dla tych smarkaczów i »zadaje wiosnę« po raz trzydziesty.

W pensjonacie madame spleśniała, w źle konserwowanem dziewictwie, zaopatruje uszy w świeżą watę »na zmianę« i jęczy:

— J'ai une bonne idée... — poczem dysponuje pensjonarkom wiosnę, także po raz trzydziesty.

Podówczas trzeba było niekiedy pisać o dwóch wiosnach — nie można inaczej, gdy anemiczna panna Zosia, ogryzając do połowy zjedzoną obsadkę szczebiotała:

— Niech pan napisze, pan tak ślicznie pisze, a ja nie umiem. Ja panu dam za to kwiat do zasuszenia.

— Niech pani da rączkę do pocałowania, — szepcze erotyk przez usta młodzieńca.

— Ach nie... Chyba na cztery kartki i jeżeli bez błędu...

Ano trzeba pisać, byle początek, to już jakoś pójdzie... W początku jednak sęk twardy, a początek ważny, od niego przecież pierwsze wrażenie zależy...

Wiosna, jest to najpiękniejsza i zarazem najzdrowsza... — nie, i tak nie dobrze...

— Słuchaj no, Antek, jakby tu zacząć tę wiosnę?

— Sam mam kłopot ze swoją.. Zajrzyj gdzie do wypisów i odpisz początek...

Nie — ambicja literacka nie pozwala, wreszcie, przecież się jakoś napisze, musi się napisać...

Wiosna, ta urocza pora roku, kiedy to w całej naturze szemrzą strumyki, rechoczą żabki i rośliny się budzą ze snu zimowego. Serce wtedy... Co serce? Początek niezły, ale co serce?...

— Antek, posłuchaj no, czy to dobrze?

— Nieźle, ale ja to już gdzieś czytałem...

— Jak ojca kocham, ja z głowy... Właśnie nie wiem, co serce wtedy... Ach wiem.

Serce wtedy uderza radośnie na myśl, że ta piękna pora już nadeszła. Z człowiekiem cieszą się stworzenia, świergocą wr...

— Jak się pisze wróbelki, przez *ó*, czy przez *u*.

— Różnie piszą...

— No to ja przez *u*.

Młody człowiek umieszcza literę u, niepokoi go ona jednak, przygląda się on też wyrazowi, pisze, próbując jak będzie wyglądać przez ó, wreszcie wpada na myśl szczęśliwą. Można przecież tak napisać u, będzie jak przez u, a niby poprawiam na ó... To najlepszy sposób...

I spływa na papier pełna prostoty myśl młodzieńca »na brudno«, spływają z nią »żydy« nerwowo usuwane językiem, z tą dobrą wiarą, że sam atrament jadu nie mieści i nie zatruwa jak myśl ludzka, co gdy się na papierze zaczerni, znaczy dziś tak często plamą, lub nieszczęściem, życie.

Wypracowanie nareszcie skończone, zwłaszcza zakończenie się udało... Jest tam mowa o młodości i wiośnianych uczuciach, jak będzie chciała, może to wziąć do siebie, w każdym razie musi być zadowoloną... Pocałuj ją w rękę dwa razy, przecież mu obiecała... Dziwne to tylko, że się tak zgodziła odrazu, a on nie śmiał jej tak długo o tem powiedzieć... Może żartowała, chyba nie — wreszcie, to się jutro zobaczy... Teraz papierosa pod kołdrę, trochę marzeń i dobranoc!

Nadchodzi jutro, świeży słoneczny poranek raduje liczne pary pensjonarek i hałaśliwe gromadki tak zawsze pewnych siebie »sztubaków«.

Zamieniają się ukłony, te ukłony wystudjowanej finezji i charakterystycznej elegancji.

Jeden kłania się, chwytając czapkę pełną dłonią, wyciąga rękę równolegle do ziemi, drugi unosi ją lekko ponad głową, przyczem należy posunąć lewą nogą, zwrócić twarz w stronę wybranej, środek korpusa zaś wygiąć w kierunku przeciwnym i w tej trudnej pozycji przejść podczas ukłonu.

— Dobrze jest mieć choć jedną rękawiczkę prawą, o ile się niema jeszcze turkusika na piątym palcu, co nadaje wiele

— Bardzo jest miłym. — Umie żartować, zna wiele rzeczy, nie mówi komplementów.

— O! o! — aż tyle zalet na raz! Ależ najdroższa, zarozumialec to czystej wody. Za jego nieokrzesanie wstydzić się trzeba. I pomyśleć, że tej zimy spotka się go w towarzystwie! — Tak zakończyłam rozmowę z Lizą!

Miał właśnie w tych dniach składać wizyty u naszych znajomych. Nas, oczywiście, pominął. Szuka tylko domów, gdzie worki z pieniędzmi stoją w kącie, a trufle na stole! Absolutny materjalista! Prototyp najzupełniejszy modernisty bez czucia, zapału i zmysłu idealnego. Matka jego ma być zamożną wdową po właścicielu ziemskim. Daj mu Boże jak najlepiej, lecz i mnie użycz łaski, żebym go nie spotkała!

Dopisek. — Istotnie, wszystkie stronnice znowu są o asesorze. Kupię sobie chyba jego fotografję, przygwożdżę do ściany i będę ćwiczyć się w strzelaniu. Może tem złość swą na niego ostudzę. Chciałabym mieć skrzydła jutrzenki i umknąć przed nim za morze!

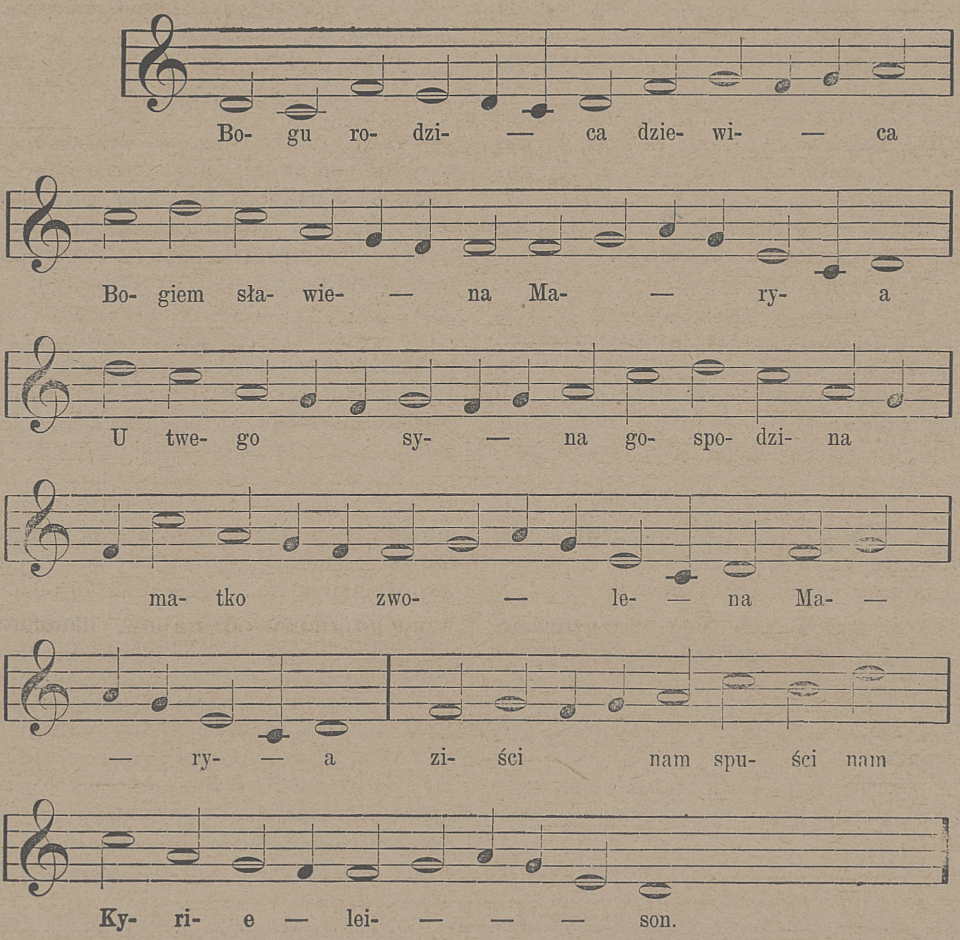
On.

Wczoraj byłem na balu u barona Flies, gdzie znowu spotkałem moją niegrzecznisię.

Tym razem, zadarła nosek prawie do sufitu z miną księżniczki aragońskiej, spotykającej przywódcę dworskiej kamarylli.

Ale uroczą jest i delikatną, jak kwiat jabłoni. I znowu miała wytworną tualetę. A szyję! Olimpijskiej bogini.

Szczególne! jak mnie ten mały tańczący niedźwiedź zajmuje, jakkolwiek w ciżbie, jaka ją otaczała, nie mogłem dojść do przedstawienia się, nie mówiąc już nic



Pieśń »Bogarodzica« podług teraźniejszej pisowni muzycznej.

tonu i świadczy o poważnem powodzeniu poza sferą pensjonarek.

Panienka spostrzega już z daleka przygotowanego do ważnego aktu młodzieńca, poczem przy zbliżeniu się odwraca główkę i zajmuje ożywioną rozmową ze swą towarzyszką, co ma niby wyobrażać bezwzględną obojętność, ten wypróbowany środek, którego stosowanie bodaj przeczucie narzuca.

Małe serduszko jednak bije głośno w obawie: a nuż nie zobaczy i nie ukłoni się wcale..

Zbliża się chwila właściwa i czapka leci, jak ptak spłoszony, panienka odwraca głowę i odpowiada na ukłon, przyczem niekiedy udaje przerażenie: ach, aach! to ostatnie jednak należy do wyższej szkoły ukłonów i w klasach niższych stosowaniem nie bywa.

Mijają się pary — lecą ukłony, a dobre wiosenne słońce patrzy na tę wiosnę młodych uczuć, które rodzą się tak szybko, trwają w czystej prostocie tak krótko, ustępując miejsca szczerym i nieszczerym porywom tej miłości, dla której dawne, wiosenne złudzenia śmiesznymi się zdają.

Szepczą też do siebie starsze panienki:

— Nie lubię tych scyzoryków... Gdybyś poznała choć jednego prawdziwego studenta, anibyś spojrzała na sztubaka.

— No tak, ale zkąd wziąć studenta? Wreszcie, oni się wcale nie czeszą.

— O! przepraszam bardzo, znam jednego, co nawet jest łysy. Ale patrzaj, idzie ten twój od wypracowania... Ja odchodzę.

— Dzień dobry pani.

— Ach! dzień dobry... Ach to pan.. Ach czy pan tylko napisał?

— A jakże... Pozwoli się pani odprowadzić?

— Jeżeli koniecznie..

— Proszę pani, wypracowanie i proszę o obiecane.

— Co znowu obiecane?

— Kwiat i...

— Kwiat mam, ale z i tego nic nie będzie...

— Jaka szkoda... Dziecinny jestem, przecież na ulicy nie można...

— Naturellement, a do bramyby m za nic w świecie nie weszła...

— Ach do bramy — prawda!.. Niech pani wejdzie, moja złota, moja...

— Bardzo pan prosi?

— Panno Zosiu!...

— No dobrze, masz pan ręce, ależ zaraz, tylko rękawiczki zdejmę — ach co ja mam z panem...

Chłopiec pochyla się, całuje drobne rączki, poznaczone atramentem na palcach, całuje po raz pierwszy z uczuciem niezmanej dumy i rozkoszy... Twarz go pali, łzy biegną do oczów i coś za gardło ściska.

— No dosyć, co pan jest taki czerwony i płacze jak dziecko, — jaki z pana jeszcze sztubak, przecie się nic wielkiego nie stało... Chodźmy...

Dobre słońce suszy łzy chłopca i zagląda w śmiałe oczy dziewczęcia i ono to pewno zapala w nich błysk jakiś, który się w wiośnie życia spotyka tak rzadko, a który potem w życiu studzi najgorętsze zapały, gdy zatli się lekceważeniem w oczach kochanej...

Rozchodzą się, ściskają się za ręce, a w młodych głowach rodzą się dwie różne myśli:

— Teraz muszę się z nią chyba ożenić, inaczej byłbym nieuczciwym...

— Jaki on jeszcze dziecinny — Mania ma rację — scyzoryk...

* * *

Szedł stary, zmęczony, trzęsący się, w ciepłym, staroświeckim surducie — szedł potrącany, jak gdyby chodzić nie umiał, czy zapomniał, szedł i uśmiechał się do popychających go, jak człowiek, co niesie w duszy radość wielką, że jej żadna przykrość nie zmoże — zły człowiek nie odbierze, bo wreszcie niema złych ludzi — wszyscy są dobrzy, kochani, zacni, poczciwi ludziska.

Uśmiechał się, a gładka twarz marszczyła się wtedy dziwacznie, głowę podnosił raz po raz do góry i patrzał na coś z uwielbieniem w starych oczach i szeptał, jakby za coś komuś dziękował.. Zdawało się, że tam w górze zamieszkało to szczęście jego i radość, niejeden też spojrzał za wzrokiem starca i nic nie zobaczył, tylko jedno duże blade słońce — nic więcej...

— Głupi stary wdzięczy się do słońca, jak pies do kija...

A jednak on czekał właśnie tego bladego słońca przez długie zimowe miesiące, o niem tylko marzył i jego doczekać się pragnął — godził się, że potem z życia ustąpi, byle raz jeszcze tylko zobaczyć to słońce, z dawnej jego młodości, to samo słońce wiary, zapału, zachwytów, jak też ono wygląda.

Zjawiło się wreszcie blade, jaby smutne — może trochę mniej grzeje i świeci, ale to samo. Zestarzało się trochę, jak wszystko, jak dawni przyjaciele i pamięć ludzka, tylko nie jak on sam...

— Ho, ho, młodego jeszcze przeskoczę. Uśmiecha się i idzie mrucząc:

o bliższem zetknięciu. We śnie powtarzam jej imię. Na spacerze myślę o niej i gniewam się na nią. Są takie słodkie dziewczęta, na które ustawicznie się gniewamy, acz nas nie interesują.

Ależ to absurd! Jeśli się na kogoś gniewa, już tem samem jest dowód, iż nas zajmuje. Tak, zajmuje — a dziś już ją kocham. Kocham!

Zabawnie odpowiedziała mi, gdy ją zapytałem, jak bawiła się w teatrze.

— Nie byłam w teatrze.

— Widziałem przecie panią w stolicy.

— To byłeś pan szczęśliwszy odemnie, bo ja pana nie widzę nigdy.

— Nawet wtedy, gdy przy spotkaniu na ulicy odkłonisz mi się pani, oczywiście tak, jakbym był szewcem, któremu za zrobienie ciasnych bucików proces wytoczono.

— Śliczne porównanie! Ale nie widziałam pana. Wogóle nie przypominam sobie, żebym kiedy pana widziała.

— Jakto? i w towarzystwie?

— Nie — przecie wtedy, jako człowiek dobrze wychowany, byłbyś się pan starał mnie przedstawić.

— Aha!

— Proszę — żadnych domysłów. Nie chodzi mi o to.

— Przepraszam — zapomniałem, że panie macie prawo być niegrzecznemi, obrażać nawet.

— Echo powtarza to, co mu się podda.

— Zwijam żagle hrabianko! Ale rzec muszę: Jesteś czarującą! Potrafiłabyś niezwyciężonego Negusa z Abisynji swoim wasalem uczynić.

— Zręcznie się pan cofasz — ale proszę wybaczyć, muszę iść pomódz przyjaciółce poncz zrobić.

Po tych słowach skłoniła mi się ruchem, jakiego by jej mistrz dworski mógł pozazdrościć.

Jutro państwu Kroy złożę wizytę.

Ona.

Ach! jakże jestem wzruszoną! Jak spojrzał na mnie, gdy wyszliśmy na podwórze. Jeżeli był to tylko produkt chcącego podobać się kaprysu, błahostka na efekt obrachowana, wtedy baron Konrad von Omuth jest najwstrętniejszym potworem! Jeśliby jednak pomyślanem było na serjo — ach! — w takim razie jestem najszczęśliwszem stworzeniem na ziemi i więcej grzechów przedwczesnego posądzania względem niego popełniłam, niż ziarnek piasku jest w naszej kopalni!

Mama jest nim zachwycona.

— Ma istotnie wytworne maniery — mówiła — i umie wybornie prowadzić rozmowę — milczy, gdzie trzeba. Z jakiemże współczuciem słuchał o mej migrenie.

Tak panie Omuth! — umiesz wybornie wspinać się na niedostępne wyżyny i budzić genjusze dobre. Uszczęśliwiony był, iż tak często spotykamy się w towarzy, stwie i za miesiąc będziemy na balu u pułkownika. Zamówił mnie do kotyliona i polki. Cudownie! Jedno jest tylko przy tem niebezpieczeństwo, to mianowicie, że Liza Ankerström wzburzy się niepomiernie. Udusi się z zazdrości, lub dostanie cery prawdziwej japonki.

Nie będziemy się jednak strzelać i spacery na wałach fortecy są z marzeń moich wykluczone. A szkoda, chętnie bym tam przyglądała się przelatującym ptaszkom, a może i balon Andreego zaczepił by gdzie o drzewo!

Ach, jakże mi duszno, gorąco i błogo jest na sercu! Jak to zdanie się zmienia, u dziewcząt robi zwrot, czego najpojętniejszy jednoroczniak nie potrafi! Tegoby jeszcze trzeba, żebym się zakochała. Na to moje poprzednie niezadowolenie wygląda. Wstyd mi doprawdy!

On.

A więc fi-i-i-t! — Czołem! Ona jest moją. Najsłodsze, najroztropniejsze i najmilsze stworzenie, jakie ziemia posiada! Gdy ją spytałem:

— Czy mimo wad moich i swej niechęci — zechcesz pani być małą moją żoneczką? — odparła:

— Tak — niechęć zmieniła się u mnie w taką dozę życzliwości, że... że... chyba nie zmieści się w żadnej aptecznej szufladzie.

Było to na balu u pułkownika.

Gdy po tem wyznaniu pociągnąłem ją ku sobie, ujrzałem najpiękniejszy na świecie obraz tego uroczego oblicza, w wązkich ramach zwierciadła odbity. Bez oporu pozwoliła się uściskać i ucałować, a nawet gwałtownie, jak wiatr wiosenny rzuciła mi się na szyję szepcząc:

— Szkaradny — niedobry — mój — mój...

Ukochana ślicznotka!

Całowałbym był bez końca te śliczne usteczka — gdyby nagle, nie zjawił się długonogi rotmistrz Plattfuk, mówiąc nosowo:

— Przepraszam. Sądziłem, że zastanę tu babkę pani — hrabianko!

— Nie — babki nie całowałem — ale uroczą, śliczną młodą dziewczynę. Pozwól

(Ciąg dalszy na str. 9.)

— Późno, bo późno, ale już na dobre, na dobre wiosenka, chłodna, bo chłodna, ale wiosna... Trzeba do ogródka pójść zobaczyć co tam drzewa robią — czy też stary kasztan żyje... Już bliziutko, już i Krakowskie — ładna ulica tak się na wiosnę odświeża...

— Wązkie Krakowskie, Dziekanka, tam był dom Malcza... Młody byłem i inni młodzi.

Szedł, mruczał, aż ręką machnął, z bocznej kieszeni wydobył wielką chustę, oczy nią przetarł, a szedł raźniej jeszcze i kijem stukał, jakby się w nim jakaś zawziętość budziła.

Ale już i ogród, staruszek szybko się posunął...

— Gdzie?

— A do ogródka, dobry panie... Wiosna, słońce... O!

— A słońce — ale wam nie można.

— Nie można, a dlaczego dobry panie?

— Ubranie nieczyste...

Staruszek, aż się zatrząsł. Ubranie nieczyste — jego ubranie, jego surdut, bez plamy, czyszczony własną ręką od lat wielu — a halsztuch z misternym węzłem może także »nieczysty«. Nie, to do wiary niepodobna, on wzór dla całej Kanonji, miałby być, aż tak zaniedbany, że mu do ogrodu wejść nie wolno, do tego ogródka, o którym marzył przez szare dni pustki i chłodu.

— Wiosna — upragnione słońce, a on ma wracać na ciemną, smutną facjatkę, gdzie całą radością są dwa paski jasnego światła na podłodze, a nad nimi ten ptak wydzierający się z klatki do słońca i swobody...

Trzeba spróbować z drugiej strony — może puszczą, muszą puścić, — postanawia staruszek i przyśpiesza kroku, otrzepując najdrobniejszy pyłek z ciemno zielonego surduta.

Wszedł nieśmiało pełen obawy, jak człowiek, któremu jednak dobrzy ludzie chcą zebrać to wymarzone szczęście... Duszno jakoś, nic dziwnego — kawał drogi, a powietrze takie mocne... Ławka, dawna znajoma, obok niej inna, a na wszystkich siedzą, opowiadają sobie o przykrościach zimy, o troskach i bólach i radują się ze słońca, które błyszczy światłem na żółtych trawach, daje ciepło, to dobroczynne ciepło, najwyższe szczęście i jedyną rozkosz starości...

Siedzą starzy, a pokrzywione chore ich ciała, wyczerpane bólem dokuczliwym jednostajnym, nudnym jak starość sama, odrażając się w tych ciepłych promieniach, czerpią z nich siły i życie, mężnieją, dają duszy dobrą nadzieję, a nawet sprowadzają myśl płochą.

— Patrz radca, jaka przylepeczka...

Przylepeczka szczerzy ząbki i dzwoni śmiechem wiosny — młodości.

— Oj dziady, dziady — mój Staś nigdy takim nie będzie...

Brzmią powitania, pocałunki, odzywają się śmiechy, ktoś kaszle astmatycznie, inny rozwinął chustę czerwoną, wielką jak sztandar, trzepnął nią i postraszył spóźnione wrony.

Kraa!

— Obrzydliwe ptaszyska...

— Radca wolisz dzierlatki...

— Waści głupstwa do głowy słońce napędza...

— Ale słońce jest...

— Jest, jest... Tyle warte, co waścina miłość, nikogo nie grzeje, a chwali się, że jest...

— Dzień dobry sędziemu.

— Sługa pana kapitana...

— Słoneczko co?

— Chwalić Pana Boga...

Gwarno się robi w alei, a z daleka widać naraz postacie ciemne, zgarbione, chwiejące się na wątłych nogach, słychać głosy, śmiech, kaszel i nowe powitania.

Przebiega chłopiec, spojrzał, parsknął śmiechem:

— Krokodyle na słońcu...

— Ach ty łobuzie — zrywa się emeryt...

— Dogoń, panie baletnik...

Staruszek z Kanonji usiadł sam zdaleka, on nie zna tych panów, ale przecie słońce dla wszytkich, wolno więc i jemu tu siedzieć, cieszyć się, rozmawiać z kasztanem, dziękować Bogu, że mu jeszcze tego słońca doczekać pozwolił, może i lato przejdzie szczęśliwie, a na zimę trzeba ustąpić, trzeba odejść, bo starość jest brzydka, młodych straszy i wszystkim zawadza, jak to nieczyste ubranie — mój Boże...

Łzy lecą po bruzdach wygolonej twarzy...

Duszno jakoś, niedobrze, zimno, choć słońce grzeje... Oj niedobrze, może do domu iść lepiej, cóż kiedy tak słabo, głowa cięży i oddychać trudno... Czy to nie śmierć czasem...

— Zdrowaś Marja, łaskiś pełna pan z Tobą... chyba nie śmierć, przecie Bóg dobry, on mi pozwoli jeszcze przeżyć tę jedną — blade usta szepczą dalej modlitwę:

— Teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen. Zdrowaś Marja, łaskiś pełna...

Głowa się pochyla coraz niżej, niżej, a błogi sen ujmuje starca w swe ramiona...

Ogrzewaj go najdłużej, dobroczynne słońce...

WESOŁY KURJEREK.



Huśtali się we dwoje
Rozkosznie i tak miłe,
Że snem się wydawały
Im owe piękne chwile.

Ksiądz związał dłonie stułą,
Rok minął jak, chwilka mała —
Matusia dziecię huśta
Radością płonąc cała.

Głowy rodziny.

Głowa rodziny, to tytuł nie lada!
To więcej znaczy, niż jasny pan hrabia!
Bo hrabstwo, dzieciak w kołysce posiada,
A tytuł głowy — życiem się zarabia.
Czy jednak każda tak nazwana głowa,
Ściśle wypełnia obowiązki swoje?
To kwestja wielka! i kwestja nie nowa,
O której babka wróżyła na dwoje.

Weźmy naprzykład pana Władysława.
Dobry ten papa, poważanie budzi,
Bo kształcąc dzieci tem się wciąż napawa,
Że za pieniądze, będzie miał z nich ludzi.
Zrobiwszy swoje jak powinność każe,
Trochę się przecie zabawić nie wadzi,
Więc pan Władysław w miłym buduarze,
Czas zbywający, składa u nóg Jadzi,
Co kiedyś pieczeń podawała z rożna,
(Biorąc szostaki z rana i z wieczora),
A dziś, za damę, uważać ją można,
Taki ma szyczek z łaski protektora.

Tobie Michale! arcy-mądry panie!
Żadna już Jadzia nie sprawia omamień,
Lecz u Musiały jadając śniadanie,
Codzień pięć godzin siedzisz tam, jak kamień!

I mając w domu wszystkiego dostatek
I dobrą żonę, mój panie Michale!
Nic cię nie martwi, że twych własnych dzia- [tek,
Czasem przez tydzień, nie widujesz wcale.

Ty znów Andrzeju — co cię wszyscy zowią
Zacnym człowiekiem do samego szpiku,
Musisz widocznie mieć naturę sowią,
Bo grywasz w winta co noc, jakby w bziku,
A w dzień jak sowa, wytrzeszczywszy oczy,
Patrzysz, nie widząc nigdy nic w potrzebie,
Bo tysiąc asów, wciąż ci umysł mroczy,
A trzeci wincik skacze w koło ciebie.

Wszyscy wy we trzech, najłaskawsi moi,
Jesteście dobrzy i zacni ludziska!
Wszak pod pręgierzem, żaden z was nie stoi,
Żelazna obręcz rąk waszych nie ściska,
Każdy z was umie dobrze żyć na świecie,
Każdy z was także zna się na honorze,
Lecz do tytułu, jaki piastujecie,
Dalipan! żaden prawa mieć nie może!
Cóż więc dziwnego, że choć świat się zmienia
I choć już wszędzie jest kierunek nowy,
U nas dziś jeszcze całe pokolenia
Rodzą się, żyją i giną bez... głowy.

Wesoły.

Doświadczona do niedoświadczonej.

„Ma toute chére Helenko! Obecna chwila moja Helciu jest dla ciebie bardzo ważną: dziewczyna kompletująca swoją wyprawę ślubną, to żołnierz, garnirujący swój tornister w amunicję, w przeddzień bitwy.

Radzę ci, koteczko, traktować tę sprawę *con amore.*

Przedewszystkiem, *soignez bien* dział negliżowy!

Są to z pozoru, *des petits riens*, małe nic, a jednakże stanowią w małżeńskiej nawigacji nieodzowny balast.

Ja licząca już sześć lat małżeńskiej kampanji, *j'en sais quelque chose!* wiem ja o tem niejedno!

Nasi *królowie*, chociażby najulubieńszem dla nich towarzystwem byli sami Śniadeccy, Spencer, lub Mill, lubują się choćby na chwilę w buduarze, gdzie wśród wonnych koronek spoczywa *królowa*

Buduar, to ramy dla pięknej kobiety. Musi on być ponętny, choć nie pozbawiony powagi musi dawać przedsmak raju, pełnego bietnic i stanowić świątynię miłości!

Ja, gdy musze kiedy stoczyć z moim *królem* walną kampanję, obieram sobie zawsze za pole bitwy mój różowy pokoik. — (Władzio nazywaj konfensgoonałem).

Tam mój *król* nie wytrzyma nigdy i pół godziny... Musi się poddać *królowej* z bronią i amunicją!

Jeśli do abdykacji nie skłoni go woń kwiatów, a hardości nie skruszą girlandy żywej zieleni i kokieteryjna *mise en scene*, dekoracja, dokaże zawsze tego dyskretnie wysunięty z pod tiulowych fałd szlafroczka haftowany pantofelek, z ażurową pończoszką!.

Tylko że tego *coup de grace*, tego sposobu nie nadużywam nigdy i w tem właśnie leży moja siła.

Zrozumiałaś mnie, koteczko?

A teraz, kiedym ci już wyłożyła jeden z rodziałów mojej teorji małżeńskiej, pozwól mi, Helusiu, ucałować cie po sto razy w aksamitne twe oczki, którym będzie doskonale pasował kolor złotej róży«.

Przepisał z teki pani Aliny

Mikado.

Z pieśni sielskich.

Za stodołą — za wujową,
Stoi miemiec, kiwa głową.
Ej że miemce, łbem nie kiwaj,
Ziemi wziąść się nie spodziewaj,
Choć-byś myślał lat dwie kopy,
Nie puszczą jej z ręki chłopy.

ISKIERKI.

Roztargniony.

— Ależ to śliczny chłopczyk! Ojciec wykapany! Czyje to dziecko właściwie?

Dwuznacznik.

— Czemu nie kupiłaś gęsi, Maryniu?

— Nie było, ani jednej na targu, proszę pani!

— Na drugi raz sama pójdę, a zobaczysz, że choć jedna będzie.

Ze wspomnień oficera Napoleońskiego.

Opowiadanie ciekawe
przez
Conana Doule'a.
(Z francuskiego.)

(Ciąg dal. Patrz Nr. 33.)

— Co to za wieś? — zapytał Duroc.

— To jest Arendorf — odpowiedział wieśniak barbarzyńskim niemieckim akcentem.

— A więc tu muszę noc przepędzić — rzekł Duroc. Następnie, zwracając się do wieśniaka, znów zadał mu zwykłe pytanie:

— Możesz mi powiedzieć, gdzie mieszka baron Straubenthal?

— A, to on właśnie jest właścicielem Strasznego Zamku — odpowiedział człowiek, wskazując palcem ponure wieżyce, wznoszące się ponad drzewa sosnowe.

Duroc wydał krzyk, jak myśliwy, gdy spostrzeże zwierzynę, za którą gonił.

Młody człowiek zdawało się, że traci głowę; oczy jego błyszczały, twarz stała się bladą, a usta tak się wykrzywiły, że chłop cofnął się o parę kroków. Widzę jeszcze Duroca, pochylonego na koniu, ze wzrokiem wlepionym w czarną wieś.

— Dlaczego nazywacie ten zamek Strasznym Zamkiem? — zapytałem chłopa.

— Tak go tu powszechnie nazywają — odpowiedział. — Działy się tam podobno okropne, straszne rzeczy. Zapewne nie bez powodu, jeden z najohydniejszych ludzi zamieszkuje zamek od lat czternastu.

— Czy to szlachcic polski? — zapytałem.

— O nie, takiej nie ma polskiej szlachty...

— Więc to jest francuz? — krzyknął Duroc.

— Mówią, że przybył z Francji.

— Ma włosy rude?

— Jak lis.

— Tak, tak, to on! — krzyczał Duroc, drżąc ze wzruszenia. — Sama Opatrzność przywiodła mnie tu. O! istnieje sprawiedliwość na tym świecie! Jedźmy, panie Gerard, muszę zająć się moimi ludźmi, zanim załatwię osobistą sprawę.

Wspiął konia ostrogami, a w dziesięć minut później byliśmy przed oberżą, gdzie jego żołnierze mieli noc przepędzić.

Wszystko to mało mnie obchodziło — spieszyłem się do mego pułku. Do Rossela było jeszcze bardzo daleko. Postanowiłem dziś ujechać kilka mil drogi i w pierwszej lepszej stodole noc przepędzić. Wychyliwszy więc szklankę wina, skoczyłem na siodło, gdy Duroc, wyszedłszy z oberży, przybiegł do mnie, a kładąc rękę na mojem kolanie, rzekł:

— Panie Gerard, proszę cię, nie opuszczaj mnie.

— Drogi panie — odpowiedziałem — jeżeli zechcesz mnie objaśnić, na co ci mogę być użytecznym, chętnie przyjdę ci z pomocą.

— Możesz mi być bardzo użytecznym Tyle dobrego o panu słyszałem, panie Gerard, iż przekonany jestem, że ty jesteś jedynym człowiekiem, którego pragnę mieć tej nocy przy sobie.

— Zapominasz pan, że spieszę do mego pułku.

— Dziś w żaden sposób nie możesz tam stanąć, a jutro złączysz się z Rosselem. Wyświadczysz mi wielką przysługę, jeżeli mi dopomożesz w tej sprawie, tyczącej mego honoru, oraz honoru całej mojej rodziny. Muszę jednak panu wyznać, że to może pociągnąć za sobą osobiste niebezpieczeństwa.

Te ostatnie słowa dopięły swego. Naturalnie, zsiadłem z konia i oddałem go stajennemu.

— Teraz powiedz mi otwarcie, co mogę dla ciebie uczynić?

Weszliśmy do sali. Duroc zamknął drzwi, ażeby nikt nam nie przeszkodził. Był to piękny mężczyzna; patrząc na niego stojącego w pośrodku, w świetle lampy, z postawą pełną odwagi i w srebrzysto-szarym mundurze, wyglądał tak dzielnie, że uczułem dla niego szczerą przyjaźń. Nie powiem, żeby był tak zgrabny, jak ja, wszelako między nami zachodziło pewne podobieństwo. To mnie ku niemu najwięcej pociągało.

— Wytłumaczę się w kilku słowach — rzekł. — Jeżeli dotąd nie zaspokoiłem twojej ciekawości, to dlatego, że przedmiot jest dla mie bardzo drażliwy i przykry. Nie mogę jednak wymagać od ciebie współudziału w mej sprawie, nie dając o niej stanowczego objaśnienia. Dowiesz się pan zatem, że mój ojciec, Krzysztof Duroc, był znanym bankierem i został zamordowanym w czasie rozruchów wrześniowych. Lud rozbestwiony zgładzić go chciał wraz z innymi z oblicza ziemi. Ojciec mój przez całe życie był miłosiernym i czynił wiele dobrego ubogim, większa też część ludności wstawiała się za nim. Chorował wtenczas, miał silną gorączkę; mimo to przyprowadzonym został przed sąd. Dwóch sędziów przemawiało za nim, trzeci młody jakobin, którego okrucieństwa, jakich się dopuszczał, przyczyniły się do obrania go przewodniczącym, własnemi rękami wyrwał ojca z pościeli i wyrzucił na ulicę, gdzie w okamgnieniu został zamęczonym. Jak pan widzisz, było to morderstwo, nawet według ich praw, nielegalne, ponieważ dwóch sędziów przemawiało za uwolnieniem ojca. Skoro porządek został przywrócony, starszy mój brat przysiągł sobie, że odszuka tego człowieka. Byłem wtenczas jeszcze dzieckiem, ale ponieważ była to sprawa familijna, często przy mnie o tem rozmawiano. Morderca ten nazywał się Karabin. Należał do otoczenia Santerra i znany był, jako słynny pojedynkowicz.

Pewna dama, nazwiskiem baronowa Straubenthal, została przyprowadzoną przed jakobinów, Karabin uzyskał dla niej wolność pod warunkiem, że ją przy sobie zatrzyma, z całym jej majątkiem i posiadłościami. Następnie ożenił się z nią, przybrał jej tytuł i nazwisko, a po upadku Robespierra uciekł z Francji. Od tego czasu nie wiedzieliśmy, gdzie się obraca.

Może myślisz pan, że przecież łatwo było odszukać go, znając imię i tytuł. Ale rodzina nasza została zrujnowaną przez rewolucję, a bez pieniędzy trudno robić poszukiwania.

Nastało cesarstwo, trudności się mnożyły. Dzień 8. brumaira uporządkował wszystko i rzucił zasłonę na przeszłość. Nie straciliśmy przecież nadziei odszukania zabójcy naszego ojca. Brat mój wstąpił do wojska, przebiegł całą południową Europę, szukając wszędzie barona Straubenthal, Biedny! nie znalazł go, padł bowiem pod Jena; nie spełnił misji. Przyszła więc kolej na mnie. Otóż szczęście mi posłużyło. W piętnaście dni po złączeniu się z moim pułkiem, w jednej z pierwszych wiosek polskich usłyszałem nazwisko tego nikczemnika. Nadomiar szczęścia, znajduję się w towarzystwie kolegi, którego imię znane jest w armji z tego, iż gdy się zdarzy sposobność do spełnienia jakiego szlachetnego czynu — Gerard w tem bierze udział.

Wszystko to było bardzo piękne. Słuchałem też z wielkiem zajęciem, ale młody Duroc jeszcze mi nie powiedział, czego odemnie wymaga.

— W czemże mogę być panu użytecznym?

— Towarzysząc mi w tej wyprawie.

— Dokąd, do zamku?

— Tak jest.

— I kiedyż to?

— W tej chwili.

— Cóż tam zamyślasz uczynić?

— Sam jeszcze nie wiem, ale pragnę, abyś szedł ze mną.

Nie leżało to w moim charakterze, abym unikał awantur, a przytem ów młody człowiek zyskał od razu moją sympatję.

— Wprawdzie jutro pragnę złączyć się z Rosserem, ale dziś mogę ci służyć.

Pozostawiliśmy naszych huzarów, zapewniając im wygodny nocleg, a ponieważ do zamku było tylko kilka kilometrów, udaliśmy się pieszo.

Nie lubię kawalerzysty idącego pieszo: o ile jest on świetnym, gdy siedzi na koniu, o tyle niezręcznym, gdy idzie. Szab'a mu zawadza, kołysząc się na prawo i na lewo, nogi mu się plączą, bo ostrogi przeszkadzają iść równo.

Jednakże ja, jak i Duroc, byliśmy w tym wieku, w którym wszystkie przeszkody przezwyciężyć można (nawet w takiem zdarzeniu), więc, choć kawalerzyści szliśmy pieszo i założyłbym się, że każda kobieta nieby nam zarzucić nie mogła, tak maszerowaliśmy dzielnie. Wzięliśmy nasze szable: nadto zabrałem ze sobą pistolet i schowałem go w kieszeni płaszcza, sądząc, że może się nam przydać.

Drogę, prowadzącą do zamku, przerzynał las sosnowy, czarny jak smoła, w którym nic nie było widać, opócz małej cząstki gwiaździstego nieba nad naszemi głowami. Nagle spostrzegliśmy zamek przed sobą. Był to ogromny ciężki budynek, z pozoru bardzo starożytny, z wieżą w każdym narożniku, z wielkiem kwadratowem podwórzem. W tej czarnej masie jedno tylko okno widzieliśmy oświetlone. Nie słychać było najmniejszego szelestu. W pośród ciszy, która panowała dokoła tego mieszkania, było coś strasznego, odpowiadającego najzupełniej nazwisku, jakie zamek nosił. Mój towarzysz przyspieszył kroku. Postępowałem za nim długą aleją, źle utrzymaną, prowadzącą do bramy.

Nie widać było ani dzwonka, ani młotka u tych dużych drzwi okutych żelazem; dopiero uderzając w nie rękojeścią naszych szabli, udało nam się zwrócić na siebie uwagę. W końcu, jakiś człowiek o odrażającem spojrzeniu, z twarzą podobną do dzikiego ptaka, z brodą czarną, sięgającą mu pod same oczy, przyszedł nam otworzyć. W jednem ręku trzymał latarnię, w drugiej prowadził na smyczy ogromnego buldoga. Spojrzał na nas groźnie, ale widok naszych mundurów uspokoił go.

— Baron Straubenthal nie przyjmuje odwiedzin o tak spóźnionej porze — rzekł doskonałą francuzczyzną.

— Proszę uprzedzić barona Straubenthala, że przebyłem ośmset mil, aby go odnaleść i nie oddalę się stąd, póki się z nim nie zobaczę — rzekł mój towarzysz.

Ciąg dalszy nastąpi.



Fabryka pudełek
i tutek cygaretowych
W. BEŁDOWSKIEGO
„N O R I S"
w Krakowie, Poselska l. 20.

Jak ocenić dobroć tutki cygaretowej?

1) Dobra tutka cygaretowa nie sprawia w ustach goryczy, pieczenia w krtani i na języku, suchości i drapania w gardle, wreszcie nie pobudza do kaszlu.

2) W czasie palenia, bibułka nie powinna naciągać tłuszczem i nie czernieć.

3) Spala się równo z tytoniem, zaś **popiół tytoniu** powinien być **jednostajnej barwy popielatej**, a nie pokryty **czarną żywicowatą** warstwą **zwęglonej bibułki.**

4) Nie powinna być zbyt cienką a przezroczystą, tylko przeświecającą w dotknięciu palcami wilgnąć, bo zawiera CELLULOZĘ (drzewo) i glicerynę. Te spalając się, odurzają i wywołują krztuszenie się, pieczenie w ustach, krtani i na języku.

Powyższe próby, oparte na naukowych i ścisłych badaniach chemicznych i fizycznych, oraz na doświadczeniu, wytrzymują Tutki cygaretowe fabryki

„N O R I S"

Dla łatwego wyboru tutek polecam:
Tutki „Maïs Numa", „**Maïs Albert**", **białe „Noris"** — do tytoni lekkich
Tutki „Maïs Wallis", „**Maïs de Paris**" — do tytoni średnio mocnych.

Zwracam uwagę na tutki **„Maïs,** gdyż są znakomitej jakości.

Do nabycia w trafikach i handlach
(170—10—7).

Pokój do śniadań
Jana Fritza
w Kołomyi
poleca
doskonałe potrawy i wyborowe trunki.
(194-2-2)

Hotel Polski
pod »białym Orłem«
Kraków. Florjańska 42
obok bramy Florjańskiej,
gruntownie odrestaurowany i z wielkim komfortem urządzony,
poleca się i nadal łaskawym względom Szanownej P. T. Publiczności.
Pokoje gościnne,
ceny umiarkowane.
STAJNIE i WOZOWNIE.
Przystanek kolei konnej
(130-st.-12)

Główny skład
Żywieckiego piwa
we Lwowie
ul. Sykstuska l. 33
Z browaru Arcyksięcia Karola Stefana

poleca swe wyśmienite piwa: piwo cesarskie jasne jak Pilzneńskie, piwo eksportowe ciemne jak Bawarskie piwo Porter kuracyjny w beczkach, butelkach i syfonach.

Wszystkie gatunki dostać można w głównym składzie, jako też w handlach delikatesów i pierwszorzędnych restauracjach.

Wyżej wymienione piwa uznane zostały jako wyśmienity środek kuracyjny przez pp. Profesorów Dr. A. Czyżewicza, dr. Neussera, c. k. sztabowego lekarza Linka, dr. Grossa we Lwowie i dr. F. Jucicha dyrygującego lekarza zakładów dr. Wiela w Zurychu i Niedelbadzie.

Zastępca firmy
J. O. SEELENFREUND
we Lwowie
ulica Sykstuska l. 33.
(150—12—7)

Restauracja kolejowa
w Chabówce
A. Sołtykowskiego
poleca się Sz. P. T. Publiczności.
(138-8-6)

Giovani Zuliani i Syn
Pierwsza krajowu
Fabryka wyrobów cementowych
Lwów ul. św. Piotra 21, telefon Nr. 658

Filja: **Stanisławów** ul. Zarwańska 18.	Filja: **Czerniowce** Bahnhofstrasse 28.

wykonuje posadzki weneckie terazzo mozajkowe imitacja granitu, płytki maszynowe z cementu deseniowane do posadzki, betonowe kanały, rury wodociągowe, sklepienia łukowe, rezerwoary i muszle do studzien, schody, balkony, żłoby, grobowce, ozdoby budowlane i wszelkie tym podobne wyroby z cementu. Skład i zastępstwo płytek szamotowych w różnych deseniach, jak i klinkerów. Łaskawe zamówienia miejscowe i z prowincji uskuteczniamy najstaranniej, wzorowo, trwale, po cenach umiarkowanych- (149—9—9)

3% Losy austryackiego Zakładu kredytowego ziemskiego
sześć (6) ciągnień rocznie
główna wygrana:
50.000 złr. a. w.
4% Losy węgier. Banku hipot.
trzy (3) ciągnienia rocznie
główna wygrana:
50.000 złr. a. w.
jakoteż wszelkie losy Czerwonego Krzyża i serbskie 10 frankowe sprzedaje najtaniej
Sokal i Lilien
dom bankowy
i kantor wymiany.

Zlecenia z prowincji wykonujemy bezwłocznie nie doliczając prowizji a na żądanie zaliczkę. (92-st.)

C. k.
Uprz. Zakłady fabryczne
w Tenczynku.
Leszka Prus Wiśniowskiego
Browar parowy i fabryka wódek polskich poleca znakomity porter, piwo export Marcowe i Leżak na beczki i butelki, oraz wszelkie gatunki zdrowotnych wódek.
(146-12-9)

Zakład wodoleczniczy i sanatorjum
Dra A. MAJEWSKIEGO
we Lwowie.
otwarty cały rok
hydro - electroterapia, massage — Kąpiele świetlno-elektryczne.
(200-6-2),

Józef Tillinger
introligator we Lwowie
na ulicy Karola Ludwika l. 5
poleca swoją:
pracownię introligatorsko-galanteryjną
i wykonuje wszelkie roboty w zakres introligatorstwa wchodzące mianowicie:

teki na dyplomy aksamitne i skórzane i wszelkie inne oprawy książek od najskromniejszych do najwykwintniejszych, w większych ilościach znacznie taniej wszelkie broszury oblicza tak że śmiało może konkurować z zagranicą.

Ręcząc za dobroć materjału i wykończenie, uprasza o najliczniejsze zamówienia. (97-st.-33).

Skład Piwa
Marcina Hillicha
we Lwowie, ul. Podzamcze 8.
Telefon 645. [93-18-18]
Poleca z najsławniejszych browarów piwa: **leżak, marcowe, eksportowe, porterowe i bok w beczkach i flaszkach. Dostawa od 10 flaszek począwszy.**

Najlepsze mydła
sualetowe i gospodarcze, oraz świece stearynowe, farbki, wosk do podłogi, i t. p. po cenach najtańszych poleca
Fabryka mydeł
E. i J. Friedriechów
we LWOWIE
ul. Krakowska 13. i ul. Lelewela.
(179—6—6)

Pokój do śniadań
Emila Bleima
w Czerniowcach,
ul. Pańska l. 10.
znakomite trunki, oraz gorące potrawy poleca Szan. P. T. Publ.
(197-2-2)

Wiktor Chajes i Sp.
Dom bankowy, **Lwów.** Sykstuska 8,
Sprzedaż losów na raty.
Kupno i sprzedaż efektów i monet.
(173-10-7)

pan, panie rotmistrzu, przedstawić sobie moją narzeczonę.

— Ach — tak — narzeczonę? — Cudownie! Winszuję, winszuję! Bardzo to zajmie towarzystwo.

Poczem ukłonił nam się, ścisnął za rękę i pobiegł czemprędzej nowinę obwieścić na gorąco. Z czego skorzystałem po swojemu, rzetelnie białe rączki dziewczyny i czerwone jej usta obcałowując.

— Moją jesteś, moją? — spytałem w antrakcie.

— Twoją — do najdalszej planety wszechświata, mój zwycięzco ukochany!

Echa zamiejscowe.

Z Paryża.

Pierwsza budowa, którą spostrzega się teraz na placu Trocedera, to »Stereorama«, gdzie wielkie ruchome płótno panoramowe ukazuje różne widoki Algerji. Stereorama przytyka do kawiarni algierskiej.

Wyżej od niej jest pawilon Tonkinu, wzniesiony w stylu indochińskim, drewniany, powleczony ciemnopąsową barwą lakową, na której harmonijnie odbija się żółta i zielona ornamentacja. Potrzeba przyznać, że o ile oficjalnie pałace Francji są ciężkie i grzeszą pod względami architektonicznymi, o tyle pawilony kolonji francuskich posiadają wdzięk, lekkość, wytworczość i artyzm.

Pałacyk ów jeszcze nie otwarty, tak samo jak ciągnące się od niego ku Trocadera pawilony wyspy Réunion, Martyniki i Gwadalupy.

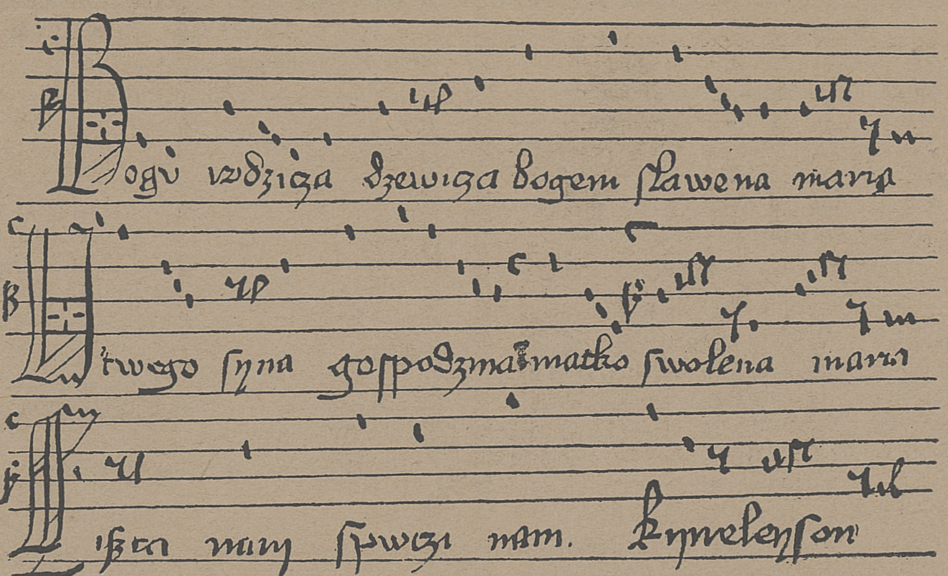
Jest się już w górze przy samem Trocaderze. Przecina się ogród i oto zwiedzający ma przed sobą pałac Rosji Azjatyckiej.

Poszczególne jego części przypominają rozmaite budowle Rosji, zwłaszcza zaś moskiewski Kreml. Podwórko z kilkoma sklepami oddziela bramę pałacu od pierwszej sali. Ta poświęcona Turkiestanowi. Zarówno, jak wszystkie sale, może być interesującą zwłaszcza dla przyrodnika i dla etnografa. Są tu zwierzęta turkiestańskie, stroje i przyrządy. Układ artystyczny jednak mniej szczęśliwy, niż w pałacu algierskim. Stoły są przeładowane, zarzucone dosłownie zbiorami; wynosi się jedynie wrażenie obfitości materjałów. Freski zdobiące salę, mają koloryt ciemny i ponury. W całym pałacu daje się nadto czuć brak fotografij i zdjęć bytowych, które zwykle stanowią łącznik między wystawianymi przedmiotami, a życiem.

Podobnież we wszystkich innych salach, łączą się nieustannie zbiory przyrodnicze ze zbiorami etnograficznymi. Jedna tylko poświęcona jest wyłącznie wytwórczości rolnej i przemysłowej Kaukazu, zyskuje też wiele na tej oddzielności. Osobną salę większą i parę mniejszych oddano kolejom, zwłaszcza kolei transsyberyjskiej. Po za tem, znajduje się tu fauna Syberji i materjały etnograficzne do życia tunguzów, jakutów, galiaków, częścią zaś do plemion kaukaskich. Interesującą jest grupa: tańczący Szaman. Dosięgając ekstazy Szaman, odziany w pstre suknie i obwieszony dziwacznymi sprzętami bije w bęben i tańczy z coraz większem wyczerpaniem. Po chwili wpadnie w omdlenie, przepowie wówczas przyszłość, lub wskaże lekarstwa dwom kobietom, jednej starej, drugiej młodej, które przykucnęły w kącie izby.

Ciekawe jest również odtworzenie chewsurskiego (plemię kaukaskie) rycerza. Uzbrojony na sposób średniowieczny, stanowi bardzo zajmujący zabytek.

Za Rosją część ogrodu dano chińczykom. Wybudowali tu oni kilka pawilonów parterowych, barwistych, pięknych mniej jednak, niż podobny pawilon tonkiński.



Najstarszy rękopis pieśni Bogarodzicy, przechowany w bibliotece jagiellońskiej w Krakowie.

Nie są jeszcze otwarte, tak jak i przytykający do powilonu rosyjskiego, pałac Indyj holenderskich. Zajmuje on półtrzecia tysiąca metrów kwadratowych przestrzeni, fasada długa jest na 80 metrów. Składa się z trzech oddzielnych budowli: pośrodku świątynia Tendżi-Sari, po bokach domy tubylców.

Świątynia Tandżi-Sari stanowi najpiękniejszy okaz architektury indyjskiej na wyspie Jawa. Imponująca prawidłowość jej struktury, niezwykle bogata ornamentacja, zawsze jednak pełna smaku i czystości, bogactwo jej posągów i płaskorzeźb czynią z niej prawdziwą perłę, wśród świątyń jawańskich. Holendersey architekci odtworzyli ją z najzupełniejszą dokładnością.

Wznosi się ona na dwóch tarasach, ustawionych na sobie. Do pierwszego dają dostęp dwie inne małe świątynie jawańskie, odzworowane z ruin Prambanamu. Podmurowanie drugiego tarasu zdobią płaskorzeźby, wybrane z najpiękniejszych, jakiemi szczyci się słynna świątynia Boro-Budor; przedstawiają one na długości 60 metrów sceny z życia Buddy, od zwiastowania jego narodzin, aż do jego śmierci.

Dwa boczne pawilony stanowią reprodukcję domów mieszkalnych z wyżyny Padang, na wyspie Sumatra. Dachy ich elegancko wygięte, spoczywają na fasadach z rzeźbionego i złoconego drzewa.

Naprzeciw pawilonu Indyj holenderskich, znajduje się część ogrodu odstąpiona Holandji pod wystawę kwiatową. Obecnie kwitną tam tysiące tulipanów o najrzadszych i najsubtelniejszych odcieniach.

Boczna droga od opisanych świątyń jawańskich, prowadzi ku budynkom Transwaalu. Składają się one z ładnego, bieluchnego pałacyku, za nim, ku pawilonom chińskim, jest ferma boerska, wzniesiona z nieoblepionych prawie kamieni. Podobna bardzo do ferm francuskich w Beauce, lub w Bretanji. Oddzielną grupę domków poświęcił rząd transwaalski dobywaniu złota. W jednym znajdują się maszyny, służące do pierwszago oddzielania złota od rudy, w innym będzie przedstawione dalsze postępowanie z drogim kruszczem. Oddzielnie umieszczono w ogrodzie złotą piramidę, przedstawiającą podglądową ilość złota, dobywanego rok rocznie w republice południowo afrykańskiej.

Złowrogi metal, o który tyle krwi leje się tam dzisiaj.

B.

Z *Detroit Mich.* (Ameryka) piszą:

Uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego, pod nowo budujący się kościół polski św. Józafata, odbyło się tu, wśród ogromnego udziału pobożnych rodaków. Aktu poświęcenia dopełnił sam ks. biskup Foley. Parafja św. Józafata założoną została w r. 1889. Pierwszym jej proboszczem był ks. Lex, drugim ś. p. ks. Możejewski. Po nim objął urząd obecny ks. prob. Jan Rzadkowolski. Dzięki jego umiejętnemu kierownictwu, młoda parafja poczęła szybko wzrastać, tak, że dziś, jeżeli nie pod względem liczebnym, to pod finansowym, najlepiej stoi ze wszystkich tutejszych parafji polskich. Stary budynek nie ma żadnych ciężarów, a oprócz tego znajduje się w banku kilkanaście tysięcy dolarów na imię parafji, która może być wzorem dla innych. Nigdy nie słyszymy tu o kłótniach i niesnaskach, a zgoda i spokój panują wszechwładnie. To też nic dziwnego, że kwitnie dobrobyt, co jest nowym dowodem, że zgoda buduje, a niezgoda rujnuje. Nie wiadomo stanowczo, kiedy świątynia zostanie wykończoną, lecz jest nadzieja, że nastąpi to jeszcze w tym roku.

---

†

Mieczysław Dzikowski-Chamski.

»Walczył jak żołnierz i jak żołnierz zginął na stanowisku«. — Temi słowy musimy rozpocząć smutną wieść, jaką dziś z naszymi czytelnikami podzielić się musimy. Redaktor naszego pisma, Mieczysław Dzikowski-Chamski, przeniósł się do innego, lepszego świata, gdzie nie ma bólu i rozpaczy, gdzie wieczny panuje spokój, bez trosk i cierni, spokój przerażający swą potęgą, spokój, którego zmarły tak bardzo pragnął, a którego niestety tak mało zaznał za życia, w ciągłej walce o byt powszedni, zaprawny nieraz gorycą i zawodem.

»Kolce« kolebką mu były — można śmiało powiedzieć o zmarłym redaktorze Dzikowskim-Chamskim, gdyż karjerę swoją litewską rozpoczął niemal od założenia *Kolców*, pisma humorystycznego, istniejącego do dziś dnia w Warszawie.

Sp. Mieczysław urodził się w Królestwie Polskiem w gubernii płockiej, a po ukończeniu gimnazjum, udał się na studja uniwersyteckie do Petersburga, gdzie też szanowany i lubiany tak przez kolegów, jak przez profesorów, zyskał stopień kandydata nauk prawniczych, równający się naszemu doktoratowi.

Wypadki w r. 1863 powołały go w szeregi obrońców ojczyzny, a nieszczęśliwy ich wynik zmusił go do opuszczenia kraju i szukania przytułku na obcej ziemi, głównie w Paryżu i Dreźnie, gdzie bywał częstym gościem śp. Józefa Ignacego Kraszewskiego. Odtąd orężem jego było pióro, którem władał z ciętością i nadzwyczajną łatwością, a którem zjednywał sobie tak przyjaciół, jak wrogów.

Był to dziennikarz w każdym calu, który szczerze i serdecznie pokochał swój zawód i całą duszą był mu oddany. Główną jego zasługą było zakładanie popularnych czasopism, które cieszyły się powodzeniem, jako idące z duchem czasu i odpowiadające potrzebom chwili

Zaraz po osiedleniu się śp. Mieczysława na stałe we Lwowie, powstał *Dziennik dla wszystkich*, który następnie zmienił sie w *Gońca i Iskrę*, wraz z dodatkiem humorystycznym *Wesoły Kurjerek*, wychodzącym do dziś dnia, jako dodatek do *Tygodnika Narodowego*.

Prócz pracy dziennikarskiej, najeżonej kolcami i cierniami, przykrej nieraz i żmudnej, oddawał się także literaturze, pisując powieści, z których »Nasze życie« największem cieszyło się powodzeniem, a to z powodu swej żywotności i wybitnej, jaskrawej charakterystyki figur

Ten rodzaj literatury nie przypadł mu jednak do gustu, gdyż wkrótce i to z korzyścią dla sztuki polskiej, zmienił go na dramatyczny; Żegota Krzywdzic — pod takim pisał pseudonimem — wystawił kilka sztuk, jak »Zdrowi i pokaleczeni« »Odgrzewana miłość«, »Krew nie woda«, »On« dotąd nie grana — a wszystkie one owiane były szczerym patrjotyzmem i gorącą miłością Ojczyzny i społeczeństwa, wśród którego śp. zmarły żył i działał. Chłostał w nich nielitościowie wady i przywary, ale w tem chłostaniu czuć było rękę, która smaganie z nienawiści, lecz z miłości, wiedząc, że lepszy ból chwilowy, choć dotkliwy, niż karygodna nieraz pobłażliwość.

Wydatną była działalność śp. Chamskiego także na polu krytyki teatralnej. Był bardzo żarliwym miłośnikiem teatru. bywał w nim prawie codzienne i w sferach teatralnych cieszył się wielką popularnością, którą mu zjednywała jego koleżeńskość i jowialność. Był nadto korespondentem wielu pism, jak *Warszawskiego Wieku*, *Głosu narodu*, a artykuły, które pisał, zawsze odznaczały się ciętością i oryginalnością stylu.

Zmarły pozostawił żonę i dwoje dzieci: córkę zamężną za Edmundem Kolbuszowskim, znanym dziennikarzem i naczelnikiem miejskiego bióra pracy we Lwowie i syna, ucznia gimnazjalnego.

Pogrzeb odbył się w piątek przy udziale licznego koła znajomych i przyjaciół, oraz drużyny literackiej i dziennikarskiej, która towarzyszyła zwłokom na miejsce wiecznego spoczynku.

Niech spoczywa w pokoju, a ziemia lekką n ech mu będzie!

W lot.

= Litwini na wystawie w Paryżu.

Litwini, którzy tak ciężko w kraju pracują nad wywalczeniem dla siebie większej swobody i tak dzielnie bronią swych praw narodowych, skorzystali ze zbliżającej się wystawy paryskiej, aby znowu dać znać światu o sobie. Postanowili mianowicie dowieść, że są narodowością żywotną, posiadającą odrębny typ, język, obyczaje, literaturę, sztukę, jednem słowem odrębną kulturę i w tym celu uorganizowali na wystawie paryskiej dział litewski.

W kwietniu już zeszłego roku, pisma ogłosiły składki na urządzenie tego działu. Litwini pospieszyli z ofiarami. Pieniądze przesłali nawet żołnierze litewscy, będący w amerykańskiej służbie na Filipinach.

Złożono ogółem dziesięć tysięcy franków. Najwięcej zebrali litwini w Ameryce.

Pomimo takiego stanu kasy, komitet urządzający musiał walczyć z wielu trudnościami. I tak: administracja wystawy nie chciała pozwolić na oficjalne wystąpienie litwinów na terenie wystawy i radziła komitetowi, aby porozumiał się ze sekcją rosyjską. Oczywiście, że litwini na podobną kombinację nie chcieli się zgodzić. Ostatecznie po długich poszukiwaniach, udało się wreszcie znaleść odpowiednie miejsce na wcale dogodnych warunkach.

Delegaci litewscy, porozumiawszy się z zarządem Trocadero, zobowiązali się wystawić na wystawie etnograficznej kilka figur ubranych po litewsku i ofiarować je następnie muzeum — z warunkiem wszakże, że obok będzie można wystawić książki litewskie, wyroby domowego przemysłu, wykopaliska, dawne monety zawiesić mapy, portrety wybitniejszych pisarzy, fotografie z etnograficznej Litwy itd.

W taki sposób kwestja wystawy została pomyślnie załatwioną i od 17-go kwietnia można już oglądać dział litewski.

Gazetka teatralno-artystyczna i literacka.

Pożegnanie Dyrektora Hellera.

Więc ustąpił dyrektor Heller, a właściwie wyparto go ze stanowiska, na którem zacnie, z wielkim talentem organizatorskim i z dużym pożytkiem pracował, podkładając silny fundament pod przyszłość polskiej sceny we Lwowie.

Nie dano mu, jednak, rozwijać dalszej pracy i odrazu wytworzono sytuację przejściową do niewiadomego początku... U nas tak najczęściej bywa. Często się zaczyna, a rzadko się kiedy kończy. »Gdzieindziejby powiedziano: dobrze poczyna sobie ten Heller — trzeba mu dopomódz, aby szedł dalej — będzie lepiej« — u nas zaś krzyknięto: »trzeba innego, bo... niech tego, co jest, djabli wezmą!«

— Za co?

— Za to, że nie zbankrutował...

Publiczność szczelnie zapełniła teatr na tem pożegnalnem przedstawieniu, które się odbyło w zeszły poniedziałek. Było to przedstawienie składane, ale nie ono ciągnęło, lecz śpieszono pożegnać dyrektora, który może służyć za wzór żelaznej pracy i wytrwałości najszlachetniejszego stylu. Żegnano go owacyjnie, serdecznie, ze łzami w oczach, a w tem wszystkiem czuć było, iż chcą mu, choć w części naprawić wyrządzoną krzywdę...

Serdecznie przemówili do ustępującego dyrektora pan Wostrowski, pani Zapolska, oraz panowie przedstawiciele chóru i służby technicznej. Odpowiedział im szczerze, z głębi duszy, dyrektor Heller, a publiczność huczała, klaskała i sypała kwiaty na ustępującego dyrektora...

Oprócz wspaniałych wieńców laurowych, otrzymał dyrektor Heller dwa piękne srebrne wieńce: jeden od publiczności, drugi od artystów i artystek. Były także prześliczne bukiety.

Cała ta wzruszająca owacja odbyła się przy otwartej scenie i wśród całego personalu męskiego i żeńskiego.

Tak się zakończyły ostatnie dni zachodzącego słońca w starym teatrze hr. Skarbka, gdzie jeszcze jakiś czas migotać będą drgające promienie, dopóki zmrok nie nastąpi w budynku, który przez pół wieku krzepił naszego ducha...

Krzywdzic.

»Don Carlos« w tearze krakowskim. Liczne grono wielbicieli prawdziwej sztuki, uznaje szczery pietyzm dyrektora p. Kotarbińskiego, dla skarbnicy naszej i obcej poezji dramatycznej. I przesunęły się przed nami przecudne perły języka, fantazji, płomiennego uczucia i potężnej myśli, przesunęły się dramaty Słowackiego.. I te, co nigdy przedtem nie były scenicznie popularyzowane i te, co przed kilku dziesiątkami lat zdobyły repertoar Koźmiana i uplastyczniały się nieśmiertelną grą Hofmanowej i Modrzejewskiej. Więc *Złota Czaszka*, *Kordjan*, *Sen srebrny Salomei*, *Mazepa*, *Balladyna*, *Marja Stuart* i to w jubileuszowym tygodniu uniwersytetu jagiellońskiego — co dzień inny dramat Słowackiego będzie zachwycał naszych gości.

Po Słowackim Śchiller. *Zbójców* wystawiono dla wybitnej gry p. Popławskiego w roli *Franciszka Moora*, a dnia 12. b. m. ujrzeliśmy *Don Carlosa*, który przez lat kilkadziesiąt u nas nie przedstawiony, wzbudzić musiał najwyższe zajęcie, Przebaczmy rozwlekłości dramatu (zaczęto go o 7., a skończono o 1. po północy), przebaczmy niezbyt wielkiemu napięciu dramatycznemu, a oddychajmy tchnieniem poezji, prawdziwej poezji, ktora z każdego wiersza, każdym wierszem czaruje każdą myślą upaja, zwłaszcza w pierwszych scenach dramatu, tłumaczonych przez Mickiewicza.

Sztuki t. zw. klasyczne, żyją przedewszystkiem grą aktorów. Dobry aktor błogosławi Schillera za szerokie pole do popisu, mierny, choć w sztukach współczesnych niezgorszy, przeklina trudności, któremi się jeży każdy dramat wielkiego poety. Może źle powiedziałem: »dobry aktor«, powinienem powiedzieć: «artysta prawdziwy«, a więc aktor-poeta, z sercem bijącem żywem tętnem, duszą, polotem, pełen ognia i zapału do sztuki, aktor, który bez t. zw. roboty scenicznej, intuicyjnie odda rolę, tak, jak ją stworzył poeta. Takich poetów aktorów jest dziś zaledwie kilku w całej Polsce. Nie ma już Benzy, Królikowskiego, Kwiecińskiego, Tatarkie-

wicza, Zboińskiego. W Krakowie są zdolni aktorzy, są nawet tacy, którym cała prasa przyznaje duży talent aktorski, ale artysty, który zaklął w swej duszy piękno, który umie intuicyjnie wniknąć w kreacje mistrzów klasycznych wszystkich narodów, który szarotę i banalność powszedniego życia na boku zostawi, a słowa jędrne ozłoci bezdennie serdecznem ciepłem, i poezją, a podeprze prawdą — artystów takich jest u nas wogóle nie wielu. Publiczność i krytyka krakowska straciła poczucie piękna, słuchając realistycznych i modernistycznych sztuk, nie może więc piękna tego dopatrzeć się w grze i deklamacji pana Kotarbińskiego. Jego markiz Poza drgał tem idealnem życiem, które za infanta poświęcił. Każde słowo, barwne wdziękiem myśli i szczerością akcentów uczucia, chciałoby się zakląć, aby nie przebrzmiało, a długo grało nam w uchu.

Don Carlosa grał najbliższy w tej sztuce p. Kotarbińskiemu — p. Tarasiewicz. Umie on prawdziwie mówić za poetę, ale czuć i żyć za niego nie jest w stanie. P. Tarasiewicz jest bowiem wyjątkowym deklamatorem. Muzyką myśli — słowa jego; gra niemi, śpiewa, maluje rytmicznie i barwnie. Brak jednak tej harmonji między duszą deklamatora, a środkami technicznymi, którymi rozporządza, brak ognia, ale piękno jest — to rzecz główna. Jego Don Carlos mówił ślicznie, choć czuł mniej, a żył najmniej. Wyjątki z *Don Carlosa* wypowiedziane, jako deklamacja estradowa, wzbudziłyby zachwyt. Don Carlos na scenie m ó w i ł pięknie, powiedział jednak bardzo niewiele. Ale drgał pięknem i udzielał piękna, a to chyba bardzo dużo.

Filipa II. grał p. Solski, szczycący się mianem »najwielostronniejszego artysty polskiego«. Nie wdając się w analizę słowa «wielostronny«, nie badając o ile aktor może i powinien być wielostronnym, potwierdzam jedynie fakt, że wielostronność zawiodła kilkakrotnie p Solskiego; dała wiele postaci, ale mało pogłębionych, wiele na pozór odmiennych, a w gruncie rzeczy bardzo pokrewnych. Wybitny ten aktor, rozkochany w wielostronności, nie może się skupiać w poszczególnej kreacji. I nic dziwnego. Filip p. Solskiego był wszystkiem raczej, a nie tem, czem miał być i powinien. Jakąś melodramatyczną, półobłąkaną, mieszczańską postać dał nam p. Solski, przypomniał nią Bartka, Turasera, Piotra (»Potęga ciemnoty») i inne swoje charakterystyczne postacie. Tragizm zaś obwiał p. Solski wykrzykami ochrypłymi i bezdusznym patosem. Trudno! Pan Solski nie z tych, co upajają słowem, nie z tych, co w poezji czują się, jak w domu. Wyobrażam sobie, jak musiał Filipa II grać Rapacki, z jaką grozą, z jakim równocześnie spokojem i majestatem królewskim, a życzyłbym sobie widzieć w tej roli waszego Chmielińskiego, który niczem niezatarte wspomnienie po sobie u nas zostawił. Publiczności p. Solski podobał się jednak, »znawcom« także (z pewnemi zastrzeżeniami), mnie — nie!

Z ról pierwszorzędnych pozostaje królowa Elżbieta i księżna Eboli. Pierwszą wzięła w swe ręce p. Bednarzewska. I była piękną, słodką, anielską, ale czy królową? Czemuż tak uparcie staje na myśli Hofmanowa, grająca niegdyś królowę? Druga (księżna Eboli) dostała się p. Siennickiej (przed laty grała ją Modrzejewska). P. Siennicka wyglądała ślicznie, grała w piękną postać wcielony szatanek, grała z demoniczną siłą kokieterji, z subtelnością, finezją i wdziękiem. Szkoda tylko, że w silniejszych miejscach używała nienaturalnie głosu, przez co psuła wrażenie prawdy, odebranej z jej słów, płynących z duszy.

Wielkiego Inkwizytora grał p. Kamiński. Stereotypowo każdy recenzent przy słowie »pan Kamiński«, traci sąd własny i ze ślepym zachwytem chwali grę jego »genialną«. Szkoda, że tej »genjalności« nie mogłem wielbić, bo żadnego prawie słowa tej roli słychać nie było, szkoda, że niedołężny starzec, jakim był wielki Inkwizytor p. Kamińskiego, nie mógł mnie przejąć grozą, choć wielu się zdawało, że ich przejął.

Pomniejsze role odegrali pp. Popławski (Domingo), Otrębowa (ks. Oliwarez) i inni. I mniejsze role powinny w takiej sztuce, jak *Don Carlos* tchnąć poezją i życiem. Nie było tak. Szary ton w rozmowie, patos nienaturalny w miejscach, wymagających siły akcentowania.

Bez wątpienia, należy się gorące uznanie dyrekcji za wystawienie tej sztuki, z takim nakładem staranności i pietyzmu dla prawdziwego, nie codziennego piękna.

Z. R.

Z Krakowa.

W piątek dnia 11. maja odbył się koncert chóru akademickiego za współudziałem Alek. Myszugi i panny Zawiłowskiej. Dochód przeznaczony był na fundusz obchodu jubileuszowego uniwesytetu jagiellońskiego. Zawsze gorąco przyjmowany u nas gość lwowski p. Myszuga, odśpiewał arją z nowej opery Żeleńskiego »*Janek*«, jakoteż kilka z tego autora pieśni »Z łąk i pól« »Zawód« i »Serenadę«. Akompaniował sam kompozytor. Najwięcej porwał p. Myszuga publiczność krakowską arją z kurantami Moniuszki, którą śpiewa wprost niezrównanie. — P. Zawiłowska wykonała kilka pieśni, a między innemi arję z opery *Mignon.* Przyjmowano ją nader serdecznie i darzono kwiatami i oklaskami. Akompaniował tejże p. Friedman. Chór akademicki odśpiewał starannie poloneza Moniuszki »Pan Chorąży«, Kołysankę Czajkowskiego i „Krasne zorze" Ławrowskiego. Orkiestra wojskowa wykonała »tańce polskie« Moszkowskiego.

W poniedziałek, dnia 14. maja, odbył się w »Czytelni dla kobiet« wieczorek ku czci Henryka Sienkiewicza, z którego czysty dochód przeznaczony na szkołę imienia królowej Jadwigi. Wstępne słowo wypowiedział dr. Jerzy Żuławski. Dyrektor teatru, p. Józef Kotarbiński, odczytał nowelkę jubilata *Na Olimpie.* Deklamowała pani Morska-Popławska, artystka sceny miejskiej. Znane tu u nas wybitne siły, wywiązały się z zadania wybornie. W części muzycznej wieczoru brali udział p. Zawiłowska, Kolman, Wierzuchowski i Friedman. Z wielkim uczuciem odśpiewała p. Zawiłowska znaną dumkę Troszla »Ku zachodniej patrzę stronie«; również ładnie interpretowała Młynarskiego Kołysankę. P. Antoni Kohman, sympatyczny tenor który zrobił miłe wrażenie na słuchaczach, pięknie odśpiewał Barkarolę Galla i Friedmana »Sieroteńkę«. Profesor Karol Wierzuchowski z elegancją i pewnością zagrał na skrzypcach Nokturn Szopena i Kujawiaka Wieniawskiego. Świetnie zakończył wieczór p. Friedman pianista, wykonaniem kilku brawurowych utworów Liszta, oraz »Pieszczotki« Szopena w transkrypcji Liszta.

Maurycy Sieber.

Z Paryża.

Doskonale redagowany miesięcznik »młodych« francuskich »Mercure de France«, umieścił w kwietniowym swym numerze rozprawę C. M. Savarit'a pod tytułem: »Poezja i poeci polscy współcześni« (str. 157—176). Autor charakteryzuje najpierw współczesną poezją polską w ogólności, potem przychodzi do poszczególnych poetów. Za główną ich cechę uważa, zagłębienie się bądź w problematy filozoficzne bądź w studjowaniu swej jaźni i z tej przyczyny nie mówi o Konopnickiej, Gomulickim i Wysockim (chociaż wymienia ich i charakteryzuje pokrótce), gdyż zdaniem jego, poprzedzający niniejsze czasy okres realizmu wycisnął na nich swoje piętno. Za duchowego ojca młodego pokolenia poczytuje Asnyka.

Łatwo zauważyć, że w tym względzie przeoczył Savarit wielki wpływ Juljusza Słowackiego.

Następnie rozpatruje utwory Kazimierza Glińskiego, Or-Ota, Miriama, Tetmajera, Langego, Kasprowicza i Niemojewskiego. Kończy krótką charakterystyką Aksla, Wierzbickiego, Adama M skiego i »najmłodszych«, jak ich zowie: Żuławskiego, Rydla, Bukowińskiego, Aldony, Nawrockiego, Liedera i Przybyszewskiego.

Brak tu Komornickiej, Adamowicza, Brzozowskich, Wyspiańskiego i innych. Streszczenie na dwudziestu stronach charakterystyki tylu poetów, pociągnęło za sobą także pewne ujemne następstwa; nie mógł naprzykład autor dawać wyjątków i wogóle bardziej odsłonić indywidualności naszych pisarzy. Wogóle jednak, pierwsza ta praca o polskiej poezji, napisana jest z dużym zasobem krytycyzmu i inteligencji i należałoby pragnąć, aby tylko częściej i o innych również dziełach polskiej literatury i sztuki traktujące, podobne rozprawy ukazywały się.

Stały współpracownik »Mercure de France« i znany poeta i literat Remy de Gourmont, wydał inną pracę, zatytułowaną »Estetyka języka francuskiego.« Zestawia w niej obrazowe zwroty i wyrazy mowy francuskiej z innymi, nie pomijając także języka polskiego. Podnosi analogję między nazwami zwierząt w Polsce i gdzieindziej. N. p. słowo »łasica« wyprowadza od czasownika łasić się; pojęciu temu odpowiada francuskie miano łasicy »belette« — dosłownie ładniutka, lub »wdzięczące się.« Nazwę ryby »białoryb« zestawia z fracuskiem ablette, pochodzącem od łacińskiego »albula« i znaczącem tyleż, co polski wyraz. Podobnych przykładów jest wiele. De Gourmont dochodzi do wniosku, że pod względem obrazowego podobieństwa do francuskiej mowy, należy ugrupować języki europejskie tak: angielski, niemiecki, holenderski, włoski, polski, szwedzki, duński, hiszpański i portugalski. Polski jest o wiele bliższy od szeregu innych.

»La Fronde« z 26, 27 i 28 kwietnia i 1. maja, umieściła w odcinku rozprawę panny Lipińskiej p. t. »Polska lekarka z osiemnastego wieku, pani Halpirowa« Rozprawa ta, poprzedzona dobrym rysem położenia kobiety w Polsce nowożytnej, oparta na niedrukowanym dotąd rękopisie biblioteki Czartoryskich w Krakowie.

Wreszcie wielkie wydawnictwo »La grande Encyclopedie« dało w 653 i 654 zeszycie pod słowem »Pologne« rys historji Polski (pióra L. Légera) i literatury tudzież sztuki polskiej, pióra Florjana Trawińskiego, byłego ucznia szkoły batiniolskiej, dziś wyższego urzędnika w muzeum Luwru. Przeciw artykułowi Légera, osnutemu głównie na Bobrzyńskim, można poczynić pewne zastrzenia, artykuły zaś p. Trawińskiego odznaczają się zarówno doskonałem opanowaniem przedmiotu, jak trafnością sądów.

B.

Przewodnik po Paryżu. Nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki w Warszawie, wyszedł z druku »Illustrowany przywodnik po Paryżu i Wystawie Powszechnej 1900 r.« Możemy go polecić jadącym na wystawę, jako polskiego Beedecker'a.

Przegląd polityczny.

Nowa encyklika. List otwarty. Pomnożenie floty. Konferencje. Z Madrytu. Turcja, a Stany Zjednoczone.

Jak donosi »Politische Correspondenz« z Rzymu, Ojciec św. zajęty jest obecnie wyłącznie wypracowaniem encykliki, treści czysto religijnej. Encyklika ta ma być z początkiem przyszłego roku ogłoszona i będzie niejako duchowym testamentem Papieża. Jak twierdzą, będzie ona rodzajem streszczenia wszystkich postanowień i zasad, zawartych w poprzednich encyklikach Ojca św.

Baron von Thüngen-Rossbach, przywódca zachowawców bawarskich, ogłosił list otwarty do cesarza Wilhelma II, protestujący przeciwko jego systemowi rządzenia. Niemcy południowi protestują przeciwko takim rządom. Odmawia on cesarzowi Wilhelmowi prawa, by tak jak w telegramie do wicekróla Indyj, mówił o miłości swojego ludu dla Indyj. Całe Niemcy południowe protestują energicznie przeciwko takim oświadczynom. Jakkolwiek wielu zgadza się na treść wywodów barona von Shüngen-Rossbach, prawie wszystkich zraża szorstka forma protestu.

Centrum czyni głosowanie drugie za pomnożeniem floty, zażądanem od przeprowadzenia w parlamencie ustawy, zwanej lex Heintze. Zachowawcy odbyli z przedstawicielami centrum szereg poufnych narad, na których postanowiono jeszcze w tygodniu bieżącym wnieść na porządek dzienny, zarówno projekt prawa o oględzinach mięsa, jak i lex Heintze. Lewica, z wyjątkiem narodowo-liberalnych, grozi w tym wypadku skrajną obstrukcją. Centrum w tym wypadku zaprojektuje zmianę regulaminu przez przyjęcie en bloc reformy paru paragrafów.

Z Poznania donoszą, iż pod przewodnictwem naczelnego prezesa regencji poznańskiej Bittera, odbywają się obecnie w Bydgoszczy konferencje z udziałem reprezentantów ministerjum w sprawie dróg wodnych w Ks. Poznańskiem. Obrady ôdnoszą się głównie do uregulowania łożysk Noteci i Warty.

Donoszą z Madrytu do dzienników paryskich, że rozruchy ustawicznie się powtarzają. Wobec straszliwego położenia, rząd postanowił wydać nadzwyczajne rozporządzenia celem przywrócenia porządku. Stan wojenny ogłoszono nietylko w Barcelonie i w Walencji, lecz we wszystkich czterech prowincjach katalońskich. Część floty wojennej odpłynęła do Barcelony.

Komendat placu z polecenia rządu konferował z biskupem tamtejszym, żądając, by zaprzestał z kazalnicy prowadzić agitacji na rzecz oderwania Katalonji od Hiszpanji.

Rząd jest zdecydowanym ogłosić stan wojenny w całej Hiszpanji, jeżeli w jakiemkolwiek innem mieście powtórzą się rozruchy. Przeciwko opodatkowanym obywatelom, wzbraniającym się płacić według nowego wymiaru, rząd zastosuje najsurowsze przepisy prawa.

Korespondent »Pol. Corr.« z Konstantynopola donosi, że ormiańsko katolicki patrjarcha Emanueljan zwrócił się do W. Porty, względnie sułtana, z prośbą, aby mu pozwolono udać się do Rzymu, celem przedstawienia się Ojcu św. W kołach patrjarchatu powątpiewają jednakże, aby uzyskał takie pozwolenie.

»Kölnische Ztg«. otrzymuje z New-Yorku, rzekomo z bardzo dobrze poinformowanego źródła, wiadomość, że wkrótce należy oczekiwać zerwania stosunków dyplomatycznych między Turcją, a Stanami Zjednoczonymi. Jeżeli to nastąpi, w takim razie Niemcy obejmą opiekę nad poddanymi amerykańskimi, zamieszkałymi w Turcji. Faktem jest, że W. Porta wzbrania się dotąd wypłacić odszkodowania, jakiego zażądał rząd waszyngtoński dla misjonarzy amerykańskich, którzy podczas ostatnich krwawych rozruchów w Armenji, utracili swoje mienie i zostali dotkliwie poturbowani.

Ciekawe, praktyczne i pożyteczne wiadomości.

Nowe zastosowanie promieni Roentgen'a. Pismo angielskie Electrical Engineer, ogłasza wynaleziony przez dra Stolle sposób drukowania przy pomocy promieni Roentgen'a, które, jak wiadomo, działają silnie na płyty fotograficzne i na takież papiery, zawierające sole srebra. Sposób to bardzo prosty i praktyczny i prawdopodobnie wejdzie niebawem w użycie, rugując odbitki litograficzne druków i pisma. Przypuśćmy, że chcemy sporządzić kilka tysięcy odbitek z zadrukowanej kartki, lub reprodukować rękopis, skreślony atramentem. W tym celu bierzemy sto arkuszy wrażliwego na światło papieru chloro — lub bromosrebrnego (ten ostatni jest znaczenie czulszy), układamy je w stos, jeden na drugim, umieszczamy na wierzchu kartkę zadrukowaną, czy zapisaną i poddajemy ją krótkotrwałemu działaniu promieni Roentgen'a. Jeżeli rozporządzamy silnym ich źródłem — a więc dużą ampułką Crookes'a i wytwarzającą, długie na 10—15 cm. iskry cewką Rhumkorff'a, to do oświetlenia arkuszy wystarczy jedna trzecia część sekundy. Promienie Roentgena przenikają odrazu wszystkie arkusze papieru wrażliwego; miejsca naświetlone, tj. przenikliwe (białe), wyszłyby jednak czarno, gdybyśmy użyli wprost naszej kartki; dla uniknięcia tego, trzeba poprzednio otrzymać z druku, czy z rękopisu negatyw i zprzeń dopiero naświetlać papier. Mając do rozporządzenia jedną rurkę Crookes'a z cewką, można łatwo sporządzić 6,000 kopji na minutę; dziesięciu robotników zajętych przez 8 godzin wyprodukuje zatem olbrzymią liczbę $8^1/_2$ miliona odbitek. Każdy, kto obeznany jest choć trochę z litografją, może bez trudności uciec się do tego sposobu, który już w r. 1896 zwrócił uwagę prof. Thomson'a. Na razie, metoda powyższa ma dwie wady — papier wrażliwy na światło jest stosunkowo drogi, gdyż zawiera związki srebra, nadto arkusz można zadrukować przy pomocy tej metody, tylko po jednej stronie na raz. Jeżeli obie strony będą wrażliwe na promienie Roentgen'a, to otrzymamy na jednej pismo odwrotna, a na drugiej proste. Należałoby zatem wyczulać odwrotną stronę wykończonych odbitek i powtarzać całą operację, aby spożytkować papier należycie. Przeszkody te dadzą się usunąć z łatwością, a wówczas sztuka drukarska ulegnie zupełnemu przewrotowi. I obecnie jednak metoda dra Stolle'go może być zastosowana do kopiowania planów i rysunków, nietylko na papierze, ale na drzewie, na cynku itd. w fototypiach.

Wysokopienne poziomki. Wiadomem jest, że można wyprowadzić wysokopienne fiołki zapomocą wąsów. To nasunęło Lucjanowi Baltetowi w Paryżu myśl, czyby nie dało się to w ten sposób wyprowadzić wysokopiennych poziomek. *Revue hort.* donosi. że Baltetowi udało się już w zupełności 50 *cm.*, które obwieszone dojrzałym owocem, przedstawiają ponętny widok. Jestto naturalnie jedno więcej curiosum ogrodnicze bez praktycznego znaczenia.

Wyrób napoju musującego ze zbieranego mleka. Firma Malmendier w Kolonji rozpoczęła już wyrabiać musujący napój z odtłuszczonego mleka. Fabrykacja odbywa się w następujący sposób: Po nalaniu mleka do butelek, wkłada się do każdej tabliczkę zawierającą sole konserwujące, poczem mleko wyjaławia się przez ogrzanie. Następnie, napełnione mlekiem flaszki, wstawia się kolejno do aparatu, w którym mleko z flaszki przelewa się do bani szklanej i tu nasyca kwasem węglowym pod ciśnieniem od 2 do $3^1/_3$ atmosfer, poczem znown powraca do butelki. W jednym takim aparacie, można wyrobić w ciągu godziny około 100 flaszek mleka.

Głosy publiczne.

Gal. Bank kredytowy w likwidacji.

D. 14. maja we Lwowie odbyło się nadzw. walne zgromadzenie akcjonarjuszy tego Banku, zwołane celem dokonania wyboru komisji rewizyjnej, która ma zbadać dotychczasowy przebieg akcyj likwidacyjnej, tudzież wszystkie księgi i rachunki.

Przybyło 40 akcjonarjuszy, reprezentujących 2.755 akcji, a 289 głosów. Dr. Gorecki zaproponował, aby komisja rewizyjna składała się z 4 członków, fachowców w dziale buchhalterji i z jednego zastępcy.

Na członków zaproponował dr. Gorecki pp. dr. Mar. Lewakowskiego, Mich. Majewskiego, p. Narcyza Ulmera i p. Szym. Mestera. Na zastępcę członka p. Tad. Onyszkiewicza, i dr. Lud. Szalay z Krakowa.

Zgromadzenie zgodziło się na tę propozycję. Następnie wezwał przewodniczący p. Tołłoczko członków komisji rewizyjnej, aby porozumieli się choćby nawet bezzwłocznie z komitetem likwidacyjnym i rozpoczęli swą czynność, gdyż czasu pozostaje niewiele, najbliższe bowiem walne zgromadzenie, któremu trzeba będzie przedłożyć gotowy elaborat, odbędzie się 22 maja. Na tem zakończono obrady.

Odpowiedzi od Red. i Adm.

Pan Ant. Kr. Wolski w Rio Gr. do Sal. (Bryzylja). Wysełanie nie frankowanych listów, może jest brazylijskim zwyczajem, ale u nas w Polsce nie każą płacić za to, że ma ktoś do kogoś interes zwłaszcza, że list niefrankowany kosztuje dwa razy drożej.

Miłośniczka. To są zachwyty zbyt naiwne — ale, jednak, dowodzą, że "w duszyczce się roi"...

Mustafa. Pseudonim zamaszysty, ale na pseudonimie się kończy.

L. w K. Później.

Br. w C. Musimy wprzód przeczytać.

M. w Paryżu. Do komisarza austrjackiego, wedle nadesłanego nam adresu, list wysłaliśmy.

Autorom wierszy. „Do ptaków", „Cudowne dzieci", „Pokajanie" i „Lubystki" — utwory panów drukowane nie będą.

Nadesłane.

Towarzystwo posagowe im: Arcyks. Gizeli we Lwowie, ul. Hetmańska l. 4. ogłasza sprawozdanie walnego zgromadzenia odbytego w dniu 5. kwietnia b. r. za rok 1899, a mianowicie:

W roku obiegłym wystawiło Towarzystwo 17 tysięcy nowych polic na ubezp. kapitał posagowy 19 i pół miliona koron; wpłaty premij wynosiły 5 miljonów 8 set tysięcy koron.

Za zapadłe ubezpieczenia wypłacono 1 milion 75 tysięcy, zaś jako dywidendę 191 tysięcy koron.

Cały fundusz rezerwowy premij wynosi obecnie 30 miljonów 8 set tysięcy koron, złożony w papierach pupilarnych Banku austrj. węgiersk. i realności. Fundusz posagowy dla ubogich dziewcząt, wynosi 221 tysięcy koron i należy podania, jak w każdym roku, wnosić w miesiącu lipcu do Towarzystwa we Lwowie.

Pomiędzy filjami Towarzystwa uzyskała galicyjska filja z siedzibą we Lwowie w roku ubiegłym około 3 miljony koron nowych ubezpieczeń posagowych.

Mężczyźni i panie, chcąc mieć zarobek uboczny, zgłaszać się mogą pisemnie, lub ustnie w biurze Towarzystwa.

(206—?—1)

Redaktorka odpowiedzialna i Wydawczyni: **Emilja Dzikowska**, Z drukarni W. A. Szyjkowskiego.